

**CZYTANIA  
PRZYJEMNE.**

PISMO DODATKOWE

D O

**Muzeum Domowego.**

PRZEZ

**F. S. DMOCHOWSKIEGO.**

**TOM II.**



**WARSZAWA,**

**W KSIĘGARNI F. S. DMOCHOWSKIEGO  
PRZY ULICY MIODOWEJ.**

**W DRUKARNI MAKSYMILIANA CHMIELEWSKIEGO.**



**1838.**

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

# Czytania Przyjemne

---

## ZAWZIĘTOŚĆ KOBIETY.

---

Są kobiety ufające i łagodne, dobre i łatwowierne, które dwadzieścia razy obrażone, jeszcze wysłuchają winowajcę i przebaczą jego winę. Inne, również łatwo zwieśdź się dające, nie dozwolą zwieśdź się raz drugi; przebaczą gdyż im to religia nakazuje, lecz nie zapomną. Jedne są jak wosk: ich gniew mięknie i nieznacznie zřobisz z niemi co zechcesz. Drugie jak żelazo, które przyj-

mie pierwszy wycisk, lecz już nie przyjmie drugiego.

Pewien kupiec zwany Paweł Lambert, osiadł w angielskiem mieście portowym, w którem panuje niezmierny ruch handlowy. Miał żonę, lecz postradał wszystkie dzieci w swojém rodzinnem mieście, a to nieszczęście skłoniło go iż się przeniósł gdzieindziej. Zdawało się, że pan Lambert szukał w zatrudnieniu rozrywki raczej, nie zaś majątku, jednakże co rano wychodził na groblę portową i hawił tam do wieczora, zajęty spekulacyami.

W pół roku potém, pani Lambert zachorowała i umarła. »Biedny pan Lambert! zawołałi litościwi sąsiedzi, jakże jest nieszczęśliwy! Cóż myślicie? czyliż się ożeni? Jest to człowiek spokojny, dobry, pobożny; czyliż może pozostać wdowcem? to rzecz trudna.

Z czasem Lambert pocieszył się po tém drugiem nieszczęściu, również jak po pierwszym. Był on z natury po-



ważny, miał lat czterdzieści, lecz wyglądał na pięćdziesiąt, tak było zimne, powolne i wyrachowane jego obejście. Mało mówił i to w krótkich wyrazach. Jednakże wszyscy przyznawali że jest grzecznym i ma szlachetne ułożenie. Chociaż był wstrzemięźliwym w jedzeniu, stół jednak miał smaczny i wytworny, dla okazania, że nie jest łakomym. Wyrozumiały dla przyjaciół, chociaż nie uśmiechał się, nie był jednak nieprzyjacielem wesołości. Dla tego więc, nie tłumaczono na złe jego milczenia i powagi. Tyle ma interesów, mówiono, iż nie należy dziwić się że tak jest zajęty. Nigdy nie śmieje się i nie powie wesołego; lecz już taki ma charakter. Nie śpiewa, czyliż śpiewają drzewa? nie zaiste; lecz tysiące ptaszków wesoło nuci pod ich cieniem; otóż, nasz bogaty kupiec, tém jest dla swoich przyjaciół, czém drzewo dla ptaszków. Porównanie to uczynił człowiek miany za dowcipnego,

1\*

który dwa razy w tydzień jadał u panna Pawła Lambert.

W témże mieście mieszkała panna, która już nie była w pierwszej młodości, lecz jeszcze świeża i dobrze prowadząca się. Nikt nigdy nie wątpił o jej skromności i cnocie. Z natury zimna, pobożna i ostrożna, z dziwnym przestraczem zawsze spoglądała na mężczyzn. Wszyscy kochankowie byli to w jej oczach zwodziciele i zdrajcy, czyhający na niewinną piękność. Dziewczyna w wiekach średnich, nie tyle bała się olbrzymów, ile panna Helena Willis swoich wielbicieli. Stara ciotka zmarła w stanie nie zamężnym, wpoila w nią tę nieufność. Tego dnia, gdy się dowiedziała że jest piękną, powiedziano jej także, w jakie niebezpieczeństwo popaść może, jeżeli nie będzie ostrożną. Królko mówiąc, do trzydziestego roku życia pozostała zimna jak posąg. Niegdyś, Pigmalion zdołał ożywić marmur tchnieniem miło-

ści, także same proźby zupełnie przeciwnie działały na nią. Gdy jaki młody człowiek wynurzał jej swoje uczucia, był to, podług zdania panny Heleny, zwodziciel, którego podstępniemi słowami pogardzała. »Wszystkie te miłosne uniesienia, mówiła niekiedy, są tylko podejściem które zgubić może łatwowierne dziewczęta; ja znam się na nich. Jednakże nie wyrzekam się zamęścia. Jeżeli jaki uczciwy człowiek zwróci na mnie myśli swoje, i szczerze i po prostu zapyta się o *tak* lub *nie*, odpowiedziałabym wzajemnie: Poważam pana, nie jesteś pochlebcą, przyjdź po odpowiedź gdy zasięgnę zdania mojej rodziny i przyjaciół.«

Charakter Heleny podobał się poważnemu panu Lambert. Nie wychwalając jej piękności, prosto przystąpił do celu i przełożył stan swoich interessów. »Jestem wdowcem, rzekł, i pragnę znaleźć cnotliwą towarzyszkę. Handel zajmuje wszystkie

moje chwile; dom mój szkodzi przez to, iż muszę spuszczać się na gnuśnych, marnotrawnych i nie wdzięcznych służących. Nikt nie troszczy się o moje dobro. Gdyby była na czele mego gospodarstwa osoba taka jaką ty jesteś pani, byłbym spokojniejszym i handel mój szedłby pomyślniej. Po tym prozaicznym wstępie, przydał: »Czy nie miałabyś wstrętu zostać moją żoną?« Nie można było mówić zwięzłej i otwarciej.

Takiego też oświadczenia życzyła sobie panna Helena. Trzymając się swego systematu rozstropności, odpowiedziała: »Zapytanie to zbyt jest śpieszne, zastanowię się nad niem; czy nie możesz trochę poczekać? Lubię obejście pana, wierzę twoim słowom; nie pochlebiasz, a ja brzydzę się pochlebstwem. Lecz tak jestem szczęśliwa w mojem samotnem życiu! Czyliż będę szczęśliwszą gdy stan odmienię? to rzecz wątpliwa; pomyślę o tém.



Pan Lambert okazał, że go ucieszyła ta odpowiedź. »Mościcia panno, rzekł, każ mi oznajmić, kiedy mi dasz stanowczą odpowiedź.

Młoda romansowa dziewczyna, byłaby się zraziła takim oświadczeniem, lecz panna Helena mająca lat trzydzieści, spokojna, zimna, roztropna, nie gniewała się, że znajdzie męża z podobnymże charakterem. »Nie będę zwiedziona, myślała sobie. Pan Lambert nie ma miny zakochanego, nie wystawia ani moich ust rumianych, ani mego śnieżnego czoła, ani moich błękitnych oczu, jak by to uczynił poeta; lecz posiada to, co rzadko u poety znaleźć można, gruntowny charakter i majątek który się co dzień powiększa. Nie pisze wierszami, ani poetycką prozą, lecz jego podpis nadaje papierowi wartość złota a i to jest także poezya.

Panna Helena nie była chciwa, lecz bogactwo uważała jako środek do pozyskania wziętości i nie była obojętną

na zalety człowieka, który mógł powiedzieć: »Naładowałem okręt mojami towarami; w moich składach jeszcze jest ich pełno, mam kilkudziesięciu kommissantów i postugaczy.

Panna Helena i Pan Paweł Lambert, wkrótce umówili się z sobą. Wspólny przyjaciel oznaczył sumnę mającą stanowić dożywocie żony, na przypadek gdyby ją mąż odumartł. Z resztą, prędko urządzono interesa. Pełna zaufania, panna Helena uznała, że wszelkie środki ostrożności które doradzał jej notaryusz, są zbyteczne i nie potrzebne. Zostawszy panią Lambert, patrzyła na wszystko oczyma swego męża.

Pan Lambert nie zawiódł się także w rachubach swoich. Dom był doskonale urządzony, a jego roztropna połówica, prowadziła go z dobrym gustem i hojnością, nie dochodzącą jednakże aż do rozrzutności.

Ilekroć odpływał okręt, albo powracał z pomyślnym wypadkiem dla bo-

gatego kupca, pani Lambert dawała przepyszną biesiadę. Pewnego razu, po południu, gdy wystrojona wychodziła na powitanie gości, mąż spotkał ją we drzwiach swego gabinetu. »Kochana przyjaciółko, rzekł do niéj, proszę cię o jedną chwilkę; trzeba podpisać ten akt. Wytłomaczę ci dla czego prawo potrzebuje twego podpisu, lecz zrozumiesz to gdy ci przeczytamy wstęp tego aktu.

Mężczyzna czarno ubrany wstał i zaczął czytać.

»Ja niżej podpisana Helena Willis, żona mężna Lambert, mogąca prawnie działać, podług woli mojej, zeznaję...«

—,Mości panie, rzekła przerywając notaryuszowi, dosyć mi na tém iż pan Lambert pragnie ażebym podpisała; zdaje się bardziej na jego charakter i roztropność, niżeli na te wszystkie prawne wyrazy. Goście czekają na mnie; gdzież mam podpisać?

—»Tu pani.

Wzięła pióro i podpisała, a potem rzekła do męża. »Nie spóźniaj się, gdy ci oznajmią że już dano obiad:« Wysza uradowana i jak zwykle przewodniczyła świetnej zabawie; obiad był wyborny; tańczono potem aż do późnej nocy.

Upłynęło kilka miesięcy, a pani Lambert nie słyszała o akcie podpisanym przez nią, i zapomniła nawet o nim, gdy dowiedziała się o tém, czego już domyśla się czytelnik, że jej mąż był oszustem, jednym z tych rozważnych oszustów, lecz którzy zawiedzeni własnymi rachubami, albo też od zręczniejszych szalbierzy, prędzej czy później przychodzą do nędzy. Pani Lambert podpisała akt, mocą którego wyrzekła się dożywocia i zaręczyła posagiem za ostatnią spekulacją męża. Ten człowiek tak roztropny, tak poważny, tak moralny, już raz zaspokoił swoich wierzycieli posagiem pierwszej żony; drugie ożenienie się było nowym zasił-



kiem, którym przedłużył swoje udane bogactwo. Pani Lambert przekonała się zarazem, że była ofiarą obłudnika i że jest przywiedziona do ubóstwa.

—, Mogę znieść poniżenie i nędzę, zawołała, lecz nigdy już nie zobaczę tego nikczemnika.

W nieszczęściu pokorny i błagający, bankrut padł jej do nóg, wyznając winy swoje; lecz odwróciła się od niego z pogardą i opuściła go, nie pytając się nawet dokąd pójdzie żyć i umrzeć: nic bowiem nie posiadał, a tak wiele osób wciągnął w nieszczęście, iż nie spodziewał się, że kogo więcej zwieśdź zdoła.

—, Będę twoim sługą! rzekł do niej, podejmę się najcięższych robót, ażeby cię przekonał o mojem przywiązaniu i żalu.

—, Aż nadto poznałem twoje przywiązanie, odpowiedziała Helena; oddal się mości panie. Gdybyś tylko był ubo-

gim i słabym, litowałabym się nad two-  
jém nieszczęściem, lecz jesteś nিকেze-  
mnym i podłym i dla tego nie wzbud-  
zasz we mnie najmniejszego nawet  
politowania. Uwolnij mię od twojego  
widoku.

Pani Lambert osiadła na przedmie-  
ściu, gdzie mieszka najuboższa klasa.  
»W tym nędzném ukryciu rzekła, »żyć  
będę nieznaną od ludzi, zazdroszczę lo-  
su moich nowych sąsiadów, gdyż są  
nazwyczajeni do nędzy, nie wzdry-  
gają się na widok niezdrowej i grubej  
strawy, nie oburzają się słysząc gminne  
wyrazy i grubijańskie przekleństwa.  
Lecz i ja nazwyczaję się do tej wrza-  
wy, do tych pijackich śpiewów, do tych  
kłótni które poniżają duszę. Przykra  
jest moja dola, lecz większa byłaby  
męczarnia żyć razem z człowiekiem  
godnym pogardy. Poważny obłudnik!...  
Któżby się mógł spodziewać, że znajdę  
oszustwo kryjące się pod jego siwemi  
włosami. Tam gdzie wre morze, gdzie

huczą fale, majtkowie ostrzeżeni o niebezpieczeństwie, oddalają się od brzegu; lecz jeżeli nie ma żadnej skazówki, a woda zdradnie przesuwą się po ukrytej rafie, rozbitkowie przeklinają skałę, o którą ich okręt uderza niespodzianie.«

Tak smutne myśli obarczały panią Lambert; wyrzekła się tego obmierzonego nazwiska, lecz dumna ze swojej cierpliwości i odwagi, nie była jeszcze tak nieszczęśliwą jak sprawca jej niedoli, który nie umiejąc żadnego rzemiosła, tułał się bez przytułku, a częstokroć bez chleba.

Od kilku miesięcy żyła Helena zapomniana od wszystkich, gdy jeden z jej wujów, uwielbiając jej stałość, zawezwał ją do swego domu i ofiarował jej opiekę, o którą przez dumę prosić nie chciała. Był to człowiek oszczędny i bogaty, tak zimnego charakteru jak i ona, wdowiec bezdzietny, umarł wkrótce potem i zapisał jej swój ma-

jątek, używszy wszelkich środków prawnych, ażeby mogła go posiadać sama i bez sprzeczki.

Pani Helena Willis, wróciła wówczas do dawnego trybu życia stariej panny. Dochód przenosił jej szczerpłe potrzeby; resztę obróciła na dobre uczynki.

Szczególniej wspierała ubogich wstydzających się żebrac, odwiedzała chorych i zasmuconych, chciała bowiem poznać tych, którym świadczyła jałmużnę. Często sama przyrządzała wzmacniające potrawy, które przeznaczala dla biednych. Kobiety nieszczęśliwe w pożyciu domowem, najwięcej doświadczały jej dobrodziejstw, słuchała z zajęciem ich przygód, lecz nie raz myślała z goryczą: »Na żadną jeszcze nie natrafiłam, któraby miała tak nikczemnego, tak podłego, tak okrutnego męża, jakim był mój.

Do pomocy w miłosiernych uczynkach, Helena dobrała sobie czynnego ajenta, który wyszukiwał nieszczęśliwych. Tym



ajentem była Zuzanna, lubiąca także czynić dobrze, lecz nie z taką samą rozważą. Zuzanna byłaby także mogła narzekać na zdradziectwo mężczyzny. W młodych jej latach, rozpustnik pozyskał jej serce, a po tem uwiódł inną, dla tego tylko, żeby się mógł z tego pochlubić. Zuzanna przebaczyła mu ten postępek, chociaż tak ją zmartwił, że już odtąd nigdy się nie rozśmiała. Po nim nastąpił oszust, otrzymał jej rękę, zabrał jej pieniądze i zmarnotrawił je na rozpuszcie z nikczemną kobietą, którą Zuzanna nazywała swoją przyjaciółką. Przez lat pięć żyła opuszczona, lecz potem wrócił ten nędznik. Jego występna towarzyszką umarła, on zaś strawiony rozpustą i nędzą, szukał przytułku u żony. Zuzanna doglądała go w chorobie, a gdy umarł, biedna kobieta wystawiała sobie, iż gdyby był wyzdrowiał, wdzięczność byłaby go uczyniła najlepszym mężem. Na jego pogrzeb wydała ostatnie pieniądze

dze. Musiała pójść w służbę i dostała się do Heleny. Pani i służąca żyły razem od lat dziesięciu, stworzone wzajem dla siebie, mimo różnicy charakterów.

Te dwie miłosierne kobiety, nie raz wyglądały oknem i wzdychały, widząc przechodzących starców i kaleków, nakształt pszczoł osłabłych, które powoli wracają do ula, lecz mimo tego nie omieszkają pracować.

Pewnego dnia, Helena spoglądała z ciekawością i zajęciem na pracujących kamieniarzy; piłowali oni wielkie kamienie. Przy tej jednostajnej pracy, śpiewali wesoło. Był to zimny dzień jesienny, lecz nie umniejszał ani ochoty, ani wesołości pracowników.

Helena postrzegła także starego biedaka który smutny i cierpliwy, przechodził co dzień zbierać starty proch kamieni, ładował go na osła, płacił kilka groszy kamieniarzom i odprzedawał go z szczerpłym zarobkiem.

Czyliż potrzeba powiedzieć czytelnikom, kto był ten starzec tak ciężkiem trudniący się rzemiosłem? Napróżno autor chciałby utaić nazwisko które czytelnicy zgadują za najlżejszą wzmianką. Romanse wspominają o zagubionych dzieciach, lecz nikt się o nich nie troszczy, każdy jest pewny, że się znajdują. Napróżno autor chce nas obłąkać; odgadujemy tajemnicę. Napróżno powiada, że jego bohatorywie umarli, spodziwamy się, iż znówu ich ujrzymy.

Lepiej zatem od razu wyznać prawdę.

Biędny sprzedawacz okruchów kamiennych, był więc mężem Heleny. Noce przepędzał w nędznej szopie, a o świcie wychodził na swój lichy zarobek. Pewnego razu, ten człowiek zgłosił się do komitetu rozdającego wsparcie ubogim parafii. »Twoja żona jest bogata, odpowiedziano.« Lecz nie śmiał błagać jej miłosierdzia; czuł bowiem swoje winy i był przekonany, że nim po-

gardza. Chwytał się przeto rozmaitych sposobów. Przyjęty za dozorcę w pensyonacie, nie umiał zjednać sobie posłuszeństwa dzieci. Chciał trudnić się posyłkami, lecz nie zdołał spamiętać nazwisk i numerów. Bankructwo przytępiło jego umysłowe władze. Wszystkiego próbował, nie mu się nie udało. Gdy przypadkiem pierwszy raz przeszedł koło pomieszkania Heleny, widział, że ubogim rozdawała odzież i żywność. Lecz nie śmiał wyciągnąć ręki, a gdy przechodził pędząc przed sobą osła, spuszczał głowę i wzdychał. Może zachował jeszcze, uczucie dumy, które wzbraśniało mu narażać się na ostatnią znieprawę.

Helena, jakieśmy o tém wspomnieli, postrzegła tego nieśmiałego biedaka, „Któż on jest?” zapytała się Zuzanny. Nigdy nie zatrzymuje się razem z drugimi, czyliż nie zasięgnęłaś o nim wiadomości.“



Zuzanna zmieszana się na te słowa; odpowiedź zacięła się w jej ustach; pani domyśliła się wówczas, że ona zna tego nędzarza i odgadła wszystko. Nędznik! zawołała, cóż on myśli? jakąż zdradę knuje? Taki więc jest los jego! Ach! niech cierpi! tak jest, niech cierpi; nie braknie mu ochoty do kradzenia, lecz tylko odwagi złodziejskiej.

Nadeszła zima, zima nielitościwa; każdy dzień był tak wilgotny tak zimny! mgły i śniegi panowały bez przerwy, a biedak przechodził ze swoim osłem, koło domu Heleny, nie zatrzymując się, drżący i schylony pod ciężarem przedwczesnej starości. Helena była zawsze niezblaganą.

— »Nędznik! czyliż ma jaki przytułek? zapytała się Zuzanny.

— »Sypia w szopie na pół rozwalonej.

— »Widzę więc, że jest ukarany tak jak zasłużył.

— »Zapewne, lecz pamiętaj pani na jego wiek, na jego cierpienia i słabość.

— »Niech parafia wspiera swoich ubogich; spodziewam się, iż pamiętasz o jego niegodziwości.

— »A pani chciej pamiętać o jego nieszczęściu.

— »Gdy tacy obłudnicy zastanowią się nad ich upłynionem życiem, czyliż mogą spodziewać się litości, jakiej nie mieli dla drugich? Mnóstwo ludzi narazili na cierpienie, niech teraz cierpią nawzajem.

— »Pani, śnieg pada na jego nędzne postanie ze słomy, wiatr przewiewa przez zdarte poszycie, a w nocy gdy rozpuszcza, woda kapie mu na głowę.

— »Jesto oznaką słabości, litować się nad nieszczęśliwym występkiem.

— »Tak jest; lecz on nigdy nie przytknie do ust zdrowego pożywienia; widać jego wychudłe członki przez ła-  
chmany któremi je ledwie do połowy pokrywa; przeziębły w swoim przy-

tułku, prawie nagi gdy wyjdzie na ulicę, słaby, skaleczony, ledwie się wlec mogący, pomnij pani ile cierpi od zimna i głodu!

— „Zuzanno, pamiętaj na jego występki.

— „O! zapewne, bardzo przewinił; lecz patrz, niech mu Bóg dopomoże, jak chwiejącym się krokiem postępuje!

— „Czy wiesz na jakie poniżenie naraził mię?

— „Wiem wszystko pani; lecz jakiż wicher! a ten biedak ledwie wlec się może po ślizgawicy. Noga mu się obsunęła; umrze jeżeli upadnie. Czyliż dozwolą, żeby chrześcianin umarł na ulicy? czyliż nikt go nie poratuje? Ach! upadł! nie już nie wstanie, jeżeli mu nie dopomoże litościwa ręka; tak żyć nie zdoła!

— „Zuzanno, jeszcze nie zasłużył na to, ażeby przestał żyć i cierpieć.

Zuzanna po cichu wyjąkała odpowiedź, spojrzała na wygrzany i porzą-

dnie umeblowany pokój, pomyślała o Łazarzu umierającym przede drzwiami bogacza i rzekła głośno:

— „Podniesiono go; zlituj się pani, patrz na tego biednego starca, stoi bez siły, płacze i drży. Ach! jak śnieg obsypuje go, gdy się chwyta uzdeczki towarzysza swojej nędzy. Usiłował modlić się, gdyż widziałam, że ruszał ustami. Jak żałosne spojrzenie wzniosł do nieba! jego serce przejęte było dobrem uczuciem, lecz zimny wiatr zamknął jego usta! Biedny nieszczęśliwy! tak jest, wzywajęś litości Boga, Bóg cię wysłucha!

— „Milcz Zuzanno! milcz, nie tyle jest nieszczęśliwym ile występny.

— »Lecz jeśli zdoła dojdź do swego schronienia, czemże rozgrzeje przeziębłe członki, bez ognia, na wilgotnym barłogu. Ten barłóg, chociaż tak wązki, zajmuje połowę chaty: widziałam go wówczas, gdym poszła wywiedzieć się o nim. W rozwalonym



kominie była garstka wiorów i trochę zgniłej słomy: przy niej on ukląkł zapewne, usiłując rozniecić słabym tchem swoim, płomień, niestety! raczej wilgotny dym, napełniający to okropne pomieszkanie; a gdy pomyślę, że za chwilę położę się w ciepłym łóżku... ach! nie będę mogła zasnąć!

— „Czy wiesz jak postąpił ze mną? rzekła Helena.

— „Tak jest wiem, i wiem także jak błądzi od rana do wieczora, narażony na wicher, na śnieg, na burze i na zamiecie, o których gdy pomyślę dreszcz mię przejmuję.

— „Był bogatym i za nic miał burzę; jest ubogim, niech ją znosi, rzekła zawzięta Helena. Zuzanno, zrób wieczerzę.

Zuzanna usłuchała z zaszępioną twarzą, mrużąc po cichu! „biędny starzec.“

Lecz wtenczas gdy serce dobrej i litościwej Zuzanny oburzało się na nieczułość jej pani i ona także zaczęła sobie wyrzucać tak długą zawziętość. „Nie

chcę widzieć się z tym nędznikiem, rzekła, lecz mu udzielię pomocy. Był bardzo występny, jest to przewrotna dusza, lecz wiele wycierpiał, uspokoję się. O tak! był bardzo podłym, nikczemnym, lecz wszyscy jesteśmy grzesznikami, a Bóg nie przebaczył by mi, gdybym sama nie przebaczyła.

Helena zawołała Zuzannę., „Wykonam rzekła czyn niedorzeczny, ty mnie do niego pobudzasz Zuzanno. Pójdź do tego nędznika, powiedz mu że nienawidząc jego występku, chcę ostudzić jego niedolę. Tymczasem zanieś mu żywności i wina: powiesz mi jak przyjmie ten pierwszy zakład przebaczenia. Uważaj czyli się zapłoni, widząc że go pociesza i żywi ta, co była jego ofiarą; lecz powiedz mu, że nie powoduje mną żadne uczucie przywiązania, tylko sama powinność; powiedz mu, że nie przemawia za nim mój szacunek, lecz tylko wzruszyła mię jego nędza i poniżenie. Nie powtórz mi żadnych dzięk-

czynień, nie chwał mojej dobroci; chcę tylko podźwignąć jego odwagę, lecz mu nie czynię żadnej nadziei. Niechaj nie sądzi, że mu kiedykolwiek przebaczę; powiedz mu i owszem, że nie zapomniła jak ciężko mię obraził. Nie znam innych jego występków, lecz ten jeden jest już aż nazbyt dostatecznym.

Dobra Zuzanna poszła czempredzėj, umyśliwszy na potém odłożyć te ostre wyrazy, które jej powtórzyć kazano. „Gdy już nie będzie w nędzy, rzekła do siebie, zobaczymy ile skutkować będą rady i wymówki.“

Po odejściu Zuzanny, Helena bardziej zadowolona z siebie samej, wzięła do ręki książkę od nabożeństwa. Jednakże zdawało jej się, że była za nadto dobrą i litościwą, lecz przypominając sobie to, co widziała przed chwilą i słysząc jak wichur świszczy, pomyślała nareście, że winowajca jest w istocie bardzo nieszczęśliwy i że można go wesprzeć.

Gdy się zajmowała takimi myślami, Zuzanna wróciła drżąca i zapłakana; i nie mogła przemówić dopóki obfite łzy nie ulżyły jej ściśnionemu sercu. „Umarł! rzekła.“

— „Umarł! powtórzyła Helena ze drżeniem.

Tak jest, padł na progu chaty; tam go znalazłam, z jedynym jego przyjacielem, osiołkiem, na pół umartym przy zwłokach swego pana.

— „Czyliż umarł z głodu? o Boże! zapytała się Helena.

— „Nie pani, jeszcze znalazłam w kącie chaty, chleb i wodę. Niestety, czekać tak długo i przebaczyć za późno. Ach! ja to obwiniam własne moje serce; miałam pieniądze, wiedziałam jak jest nędzny i ile cierpi. Pani, ja to jestem winna, że wcześniej nie prosiła o twoje przebaczenie dla tak nieszczęśliwego człowieka!.. Ja to, ja mam złe serce.





## BWELINA.

---

W porze kąpieli w Brighton, gdy Anglicy i cudzoziemcy tłumnie zbierają się u tych wód, już to dla zdrowia, już to dla rozrywki, znajdował się tam książę de Villamonti, bogaty neapolitańczyk, który mimo późnego wieku, opuścił piękne niebo Włoch i idąc za radą kilku Anglików przyjechał do kąpieli w Brighton.

Tak wielka była liczba gości, iż książę nie mógł dostać osobnego domu dla siebie i dla swego orszaku. Ten w którym się mieścił, zajmowała uboga angielska rodzina; składała się ona z pana Madisson, jego żony i ich córki

Eweliny. Pan Madisson pochodził z szlchetnego domu, lecz na nieszczęście był najmłodszym z trzech braci, i nigdy nie trudnił się niczém innym, tylko poezją, literaturą, a mianowicie uczonei badaniami, z których dotąd nie ułożył ani jednego tomu, któryby przydał się xięgarzom. Ożenił się młodo, z osobą bez majątku i zawsze zostawał w niedostatku. Wprawdzie, ten niedostatek już prawie dochodzący do nędzy, wówczas tylko czynił go nieszczęśliwym, gdy myślał o losie żony i córki. Co do niego samego, nauka zastępowała mu wszystkie przyjemności życia, jakimi obdarza majątek; lecz pani Madisson mocniej czuła to przykre położenie, i tak mocno cierpiała na tém, iż ciężko zapadła na zdrowiu. Doktor przepisał kąpiele w Brighton, a jej mąż bez wahania się uczynił wszelkie ofiary, ażeby ją tam zawiózł.

Przypadek, zdarzający się bardzo często między osobami zamieszkałemi

w tym samym domu, zapoznał pana Madisson z xięciem Villamonti. Xiąże nie mając innych rozrywek prócz kąpieli i zniewolony resztę dnia przepędzać w domu, polubił towarzystwo angiika i wkrótce ocenił jego wiadomości, dowcip i obejście. Zaprosił go na obiad z żoną i córką, a to zaproszenie raz przyjęte, pónawiało się często. Pani Madisson znała ton wielkiego świata; jēj córka, doskonale wychowana, posiadała wiele talentów. Ewelina miała rok siedemnasty. Ubranie bardzo skromne nie umniejszało piękności młodej dziewicy, jēj duże włosy czarne spadały w puklach na białe ramiona, perkalowa sukienka ściskająca ładną jēj kibić, lepiej ją ozdabiała, niżeli najbogatsze ubranie, a stary xiąże patrząc na nią, przypominał sobie obrazy Rafaela.

Lecz bardziej niżeli postać Eweliny Madisson, zachwycił go dźwięk jēj głosu, gdy po ściślejszym zapoznaniu się

śpiewała, albo głosem przenikającym do serca czytała poezye Danta lub Alfiezego; wówczas książę zapominał o swoich cierpieniach i zdawało mu się, że wraca do trzydziestu lat życia.

Z tąd wynikało, że jeszcze nie skończyła się pora kąpeli, gdy książę Villamonti poprosił o rękę panny Madisson.

Chociaż ten związek był tak świętym pod wielu względami, jednakże rodzice ze drżeniem wspomnieli o nim Ewelinie, dodając, iż nic nie przyrzekli i że wolno jej będzie przyjąć lub odrzucić tę ofiarę.

Na pierwszą wzmiankę o żądaniu, o którym nawet pomyśleć nie mogła: tak dalece stary siedemdziesięcioletni książę był dla niej przedmiotem uszanowania i litości; Ewelina zbladła i zadrżała; lecz spojrzawszy na matkę, której twarz wynędzniała i przygaste oczy oznaczały nędzę i zmartwienie, zmusiła się do uśmiechu i rzekła, iż pójdzie za księcia.



W trzy tygodnie potem, wiąże Villamonti pojechał do Neapolu z młodą małżonką, zapewniwszy trzysta gwineów rocznego dochodu jej rodzicom.

Biędna Emelina nie miała nawet tej pociechy, że mieć będzie przy sobie tych, dla których się poświęca; musiała pojechać do obcego i dalekiego kraju, żyć pośród cudzoziemców, przy starcu, który chociaż z natury dobry i ludzki, częstokroć przykrym był i niecierpliwym, z powodu ciężkich boleści swoich. Lecz nie narzekała na los swój, a gdy smutek ogarnął jej serce, myślała, że zapewniła los rodziców i zyskała ich błogostawieństwo.

Wody w Brighton tyle pomogły xięciu, iż za powrotem do Neapolu mógł przedstawić żonę swoją u dworu, i w towarzystwach. Młoda xiężna podobała się powszechnie. Otoczyło ją mnóstwo wielbicieli i poznała, że tylko przez naściślejse prowadzenie się utrzy-

ma swoją sławę i pozyska szacunek świata. Nigdy nie wychodziła bez xięcia, który rzadko jej mógł towarzyszyć; lubiła życie ustronne i była do niego nawykła. Nie cierpiała wielkich zgromadzeń i wielkich strojów i tylko w uroczystych zdarzeniach i dla przypodobania się mężowi, przywdziewała świetne i wytworne ubranie. Xiężę dał jej wszystkie klejnoty pierwszej żony swojej, warte przeszło pół miliona franków; lecz bardzo rzadko ich używała. Jeden tylko klejnot zwrócił jej uwagę, była to prosta bransoletka z portretem xięcia, gdy miał lat dwadzieścia osiem. Ten portret bardzo był niegdyś podobnym i wystawiał pięknego młodego mężczyznę. Rysy regularne, duże czarne oczy, ujmujący uśmiech, tak się to wszystko zmieniło z wiekiem, iż Ewelina nosząc zawsze na ręku tę bransoletkę, wzdychała nieraz i myślała, iż szkoda jest, że lata zrzuciły tak wielką różnicę.

Jeżeli nie wiele dbała o rozrywki wielkiego świata, lubiła jednak przyjemność świetnego i bogatego istnienia; w zimie mieszkała w jednym z najwspanialszych pałaców w Neapolu, a w lecie w pięknej willi i posiadała to wszystko, co pochlebiało jęj zamiłowaniu w sztukach pięknych. Towarzystwo i starania tęg miłęg kobiety, przedłużały życie xięcia, łagodziły jego cierpienia. Lubił odgadywać wszystkie życzenia swojej młodej małżonki. Obficie dostarczał jęg środków wspierania nieszczęśliwych. I dla tego, gdy Ewelina obsypana błogostawieństwem tych którym wsparcie przyniosła, siadała przy łóżu chorego męża, wesołe było jęg oblicze, zadowolone miała serce, a zamiast oddawania się smulkom i żalowi; okazywała przyjaźń i wdzięczność dobroczyncy i przyjacielowi swojemu.

Już upłynęło półtora roku, jak Ewelina zaślubiła xięcia Villamonti. W kilka

dni jak przybyli na wiosnę do swęj willi, oznajmił jej xiąże na dzień jutrzejszy odwiedziny swojej siostry i siostrzeńca, których jeszcze nie mógł zapoznać z żoną, gdyż przez dwa lata mieszkali w Paryżu.

Przybyli dosyć późno nazajutrz rano.

Hrabina de Molza była jeszcze piękna, lecz wyniosłe spojrzenie oznaczało jej dumę. Ludwik jej syn, miał około dwudziestu pięciu lat, a Ewelina ujrawszy go, ledwie powściągnęła się od wykrzyknienia, widząc postać młodzieńca, którego miniaturę nosi na ręku. Matka i syn czule uściskali xięcia; lecz gdy przedstawił im żonę, zmienił się nagle wyraz ich fizyonomii i tak oziębłe ją powitali, iż serce Eweliny ciężka boleść ścisnęła. Usiedli i poufała rozmowa wszczęła się między bratem, siostrą i siostrzeńcem.

Xiąże zapytał się Ludwika o to, co we Francyi najbardziej zasługuje na



uwagę; młody hrabia mówił tak przyjemnie i trafnie o wszystkim, jego wielkie czarne oczy tak mocne wyrażały zajęcie, gdy opowiadał wujowi wrażenia swoje, iż Ewelina nawykła do powolnej i smętnej rozmowy starca, nie mogła się go nasłuchać, pomimo lekkiej urazy którą czuła zawsze w głębi serca.

Jakoż słusznie mogło ją obrażać postępowanie tych dwojga osób. Nie tylko że nigdy wprost nie mówiły do niej, lecz jeżeli przypadkiem wmieszała się do rozmowy żadne z nich nie odpowiedziało, a spojrzenia Ludwika wyrażały jakąś pogardę która głęboko raniła serce więźny. Cało dzienny pobyt w willi nie zmienił ich obejścia. Odjechali wieczorem, nie rzekłszy ani jednego uprzejmego wyrazu do niewinnej istoty, którą niesprawiedliwie posądzali, że swoją młodość i piękność zaprzedała za tytuły i bogactwa.

Po ich odjeździe, książę zapytał się, czy jest zadowolona z zapoznania się z jego rodziną. Ewelina szlachetną dumą powodowana, nie chciała narzekać i łatwo jej było przekonać starca, iż hrabina i jej syn okazali się dla niej tém czém być powinni. Książę zaczął chwalić przymioty umysłu i serca Ludwika i opowiedział kilka szczegółów jego życia, które niezmiernie zajęły Emelinę.

Powróciwszy do swego pokoju, nie przestała wyobrażać sobie miłej postaci tego młodzieńca. Niezdolna postępować podług nikiemnej rachuby, nie posądzała o nią Ludwika i hrabinę i nie mniemała że oni ją posadzają. Rozumiała że ich oziębłość względem niej z tąd tylko pochodzi, iż przykro im było widzieć przy krewnym którego kochają, obcą dla nich osobę. „Gdy mię lepiej poznają, rzekła, przebaczą mi, że usiłuję osłodzić ostatnie dni człowieka któ-

remu winna jestem szczęście moich rodziców.

Hrabina i jej syn powrócili wkrótce, lecz druga ich bytność i następne, odjęły Emelinie słodką nadzieję którą powzięta. Łatwo przekonała się, że jeżeli przez wzgląd na xięcia, Ludwik i jego matka zachowują się względem niej w obrębach przyzwoitości towarzyskiej, jej obecność nie jest im przyjemną. Unikała więc ich spotkania i przez cały czas ich odwiedzin zostawała w swoim pokoju. Jednakże, mimo tego postępowania i jego pobudek, obecność Ludwika mimowolne czyniła na niej wrażenie, a gdy musiała mówić z nim, co się bardzo rzadko zdarzało, płonęła się, drżała i ledwie zdobyć się mogła na kilka wyrazów. Nareszcie, serce biednej Eweliny, przed niedawnym czasem tak spokojne i wesołe, dręczone było smutkiem, niespokojnością i zajęte obrazem, który mimo wszelkich jej usiłowań ści-

gał ją bez ustannie. Nie raz przepędzała część nocy w małym salonie, obok jej sypialnego pokoju. Wówczas, oparła o szerokie okno, przez które przechodziły wonie kwiatów i świeże powietrze ogrodu, zajmowała się najsmutniejszymi myślami; wspomnienie Ludwika przejmowało jej duszę pomieszaniem uczuciem tkliwości i gniewu; chodziła po pokoju co raz bardziej wzruszona, aż nareście łzy przynosiły jej ulgę i padając na kolana, błagała niebios, ażeby jej powróciły utraconą spokojność.

Xiąże i jego małżonka przyjechali do Neapolu na zimę. Ewelina drżała na tę myśl, że co dzień będzie widywać Ludwika. Jednakże dowiedziawszy się, że ważne interesa powołały do Medyolanu hrabinę i jej syna, płakała. Lecz ukryła ten smutek przed mężem swoim, a widząc, że jego zdrowie co raz bardziej słabnie, szukała ulgi w staraniach



około niego podejmowanych i w dopełnieniu powinności.

Pewnego dnia gdy była przy xięciu, który od tygodnia nie wstawał z łóżka, przyniesiono list z Medyolanu; xiąże poprosił żony, żeby mu go przeczytała. Był to list Ludwika; z rozpaczą donosił wujowi o śmierci matki. Każdy wyraz tego pisma, był tak tkliwy, tak przemawiał do serca, iż Ewelina zalała się łzami.

Starzec nie zapłakał, lecz bądź to że tak smutna wiadomość zadała mu cios ostatni, bądź, że już nadszedł kres jego życia, wkrótce potem umarł na ręku żony, wzywając na nią błogostawieństwa niebios.

Ewelina tak mocne uczuła zmartwienie po stracie jej dobroczyńcy i najlepszego przyjaciela, iż przez kilka dni żadną inną myślą zająć się nie mogła. Wówczas dopiero, gdy sprawujący interesa xięcia, wspomniat jej że powinna na-

pisać do hrabiego de Molza, żeby obecnym był przy otwarciu testamentu, inny smutek obudził się w jej sercu.

W dniu oznaczonym, Ewelina blada i drżąca, weszła do sali, gdzie już się znajdował notaryusz i inni prawnicy. Zastała tam kilku dalekich krewnych xięcia, i Ludwika, którego rysy wyrażające boleść, mocno ją dotknęły. Czy to było skutkiem tak uroczystej chwili, czy też grubiej żałoby którą miał na sobie, hrabia powitał ją z większym uszanowaniem i nie tak obojętnie jak dawniej.

Otworzono testament. Xiąże zapisał żonie, wszystkie klejnoty pierwszej xiężny Villamonti, pałac w Neapolu, wille i czterdzieści tysięcy liwrów dochodu, to jest blisko czwartą część całego majątku, resztę dał hrabiemu Ludwikowi Molza.

Wyrazy któremi xiąże oznajmił swoje rozporządzenie, były tak szlachetne,

tak pochlebne, i tak tkliwe, iż Ewelina wzruszyła się aż do głębi duszy. Wszystkich spojrzenia zwróciły się na nią i ujrzano łzy płynące z jej spuszczonej oczu.

Gdy już ukończono czytanie testamentu, Xiężna zbliżyła się do notaryusza, prosiła go ażeby przyszedł do niej nazajutrz o oznaczonej godzinie i ukłoniwszy się obecnym, z szlachetną i łagodną postawą wyszła z salonu.

Trzeciego dnia rano, hrabia Ludwik otrzymał następujące pismo.

„Zachowując panie hrabio wieczną  
„wdzięczność dla mego ukochanego mę-  
„ża, nie przyjmuję jego darów. Umy-  
„śliłam powrócić do moich rodziców,  
„a dobrodziejstwa które winni są xię-  
„ciu i które chętnie podzielaę ze mną,  
„wystarczą moim skromnym życzeniom.  
„Załączam przeto formalne zrzeczenie  
„się udziału, jaki mam zapisany w ma-  
„jątku xięcia de Villamonti. Odsyłam

„także jego dyamenty. Jeden tylko klej-  
„not zatrzymałam dla siebie, bransole-  
„tkę ozdobioną portretem mego dobro-  
„czyńcy; nie miałam tyle odwagi ażeby  
„z niej uczynić ofiarę.

„Mam zaszczyt bydź panie Hrabio  
„Jego najniższą sługą.

EWELINA XIĘŻNA VILLAMONTI.

Pod tąż samą kopertą był akt urzę-  
dowy, mocą którego xiężna zrzekła się  
dobrodziejstw zapewnionych dla niej w  
testamencie.

Po przeczytaniu tego listu, Ludwik  
uczuł tak mocną zgryzotę, iż boleśnie  
ścisnęło się jego serce, a oczy napętni-  
ły się łzami. Obraz tej pięknej i mło-  
dej kobiety, którą tak niesprawiedliwie  
pogardził, przedstawił się jego oczom  
z niewymownym wdziękiem: Nareszcie,  
przypominając sobie w jak smutnej sa-  
motności xiężna przepędziła trzy naj-  
piękniejsze lata swego życia, poznał w



niej anioła rezygnacyi, ofiarę przywiązania do rodziców.

„Jestem najwinniejszym z ludzi! zawołał, przypominając sobie tysiące szczegółów postępowania Eweliny i swego własnego; nie będę mógł być szczęśliwym, jeżeli nie pozyskam jej przebaczenia.“

Czem prędzej pojechał do pałacu Villamonti. Tam powiedziano mu, iż księżna téj nocy odjechała do Anglii, oznajmiwszy wszystkim służącym, iż należą odtąd do hrabiego Molza. Ludwik wszedł do pokoju księżnej, a widok téj opuszczonej komnaty, gdzie może nie raz łzy wylewała, rozrzewnił go niewymownie. Zbliżył się do fortepianu i spojrzął na piękne rysunki wiszące na ścianach. Księżę nie raz wspominał o talentach żony swojej; wszystko to przywiodło na myśl Ludwikowi, że ani on ani jego matka, nigdy nie raczyli prosić księżnej aby im poka-

zała swoje roboty, lub zaśpiewała w ich obecności. Te wspomnienia rozdzierały mu serce.

Nie wiedząc gdzie mieszkają w Anglii rodzice Eweliny, usiłował wywieźć się o tém. Nareszcie napisał w tym celu do jednego z bankierów londyńskich.

Ewelina powróciwszy do rodziców, przyjęta była od nich z uniesieniem radości. Nie chcąc ich martwić smutkiem swoim, usiłowała rozerwać się. Mały ich domek był w położeniu bardzo pięknem; największe miała upodobanie w przechadzce. Rysunki, czytanie i muzyka, zajmowały jej chwile, lecz mimo tego, wspomnienie Ludwika co raz jej mocniej ścigało, a pod czas długich samotnych przechadzek, jedyna myśl zajmowała jej umysł i serce. Często, usiadłszy pod dębem, wlepiła oczy w miniaturę którą ciągle nosiła na ręku i tak przez kilka godzin pogrążona była w smutném dumaniu.

Upłynęło dziesięć miesięcy. Pewnego dnia, gdy powróciła z przechadzki wieczornej, ojciec rzekł do niej, że podczas jej nieobecności odwiedził ją młody mężczyzna, i bardzo żałował, że jej nie zastał.

— „Młody mężczyzna! rzekła zdziwiona Ewelina. — „Tak jest: odpowiedziała pani Madisson: hrabia Ludwik Molza; czekał więcej jak godzinę i wkrótce powróci.

Ewelina padła na najbliższe krzesło, bezsilna i zbladła. — „Hrabia! zawołała, hrabia de Molza, mówicie?

— „Tak jest, odpowiedziała pani Madisson, tak się nazwał.

— „To byź nie może matko! odpowiedziała Ewelina, nagle zapłoniona; hrabia Molza nie mógł tu byź... .

— „A któżby inny! zawołał Ludwik śpiesznie wchodząc do pokoju, jeżeli nie ten, który nie chce od ciebie pani nic

przyjąć, tylko wspaniałomyślne przebaczenie.

Ewelina tak mocno była wzruszona, iż ani słowa nie mogła wyrzec. Hrabia zwrócił jej akt zrzeczenia się zapisu i stokrotnie zapewnił ją o swoim uszanowaniu, uszanowaniu najczulszém, a prawie jeszcze nie przyszła do siebie.

Łatwo domyślimy się, iż Ludwik pozyskał przebaczenie. Przez dwa miesiące, do końca żałoby, odwiedzał codziennie Ewelinę, a gdy nadeszło pozwolenie z Rzymu, stał się szczęśliwym małżonkiem swojej wujenki.

PANI de BAWR.



# **RODZINA PARIÓW.**

*Tom II.*

**5**



## RODZINA PARIOW.

---

Przy końcu jesieni przeszłego roku, nie wiedząc co robić na wsi podczas długich i dżdżystych wieczorów, wziąłem się do czytania dawnych książek, zapomnianych od lat dwudziestu na pułkach stariej szafki. Kilka tomów dzieł Bernardyna de Saint Pierre były najświeższą nowością tego zbioru.

Czytywaliśmy głośno wieczorem. Towarzystwo nasze składało się z kilku kobiet, z poborcy dochodów publicznych i z adwokata przy trybunale w Nismes.

Poborca miał pretensyą do dowcipu i erudycyi; adwokat był zacnym człowiekiem, niewymuszonym w obejściu i rozmowie; mówiono że ma głowę romansową.

Pewnego wieczora gdyśmy skończyli *Chatkę indyjską*, poborca powiedział iż to jest powieść bardzo poetyczna, lecz pozbawiona wszelkiego podobieństwa do prawdy. Sprzeciwiano się jego zdaniu: kobiety zwłaszcza, chciały wierzyć w rzeczywistość tego biednego parii, który posiadał tak szlachetne uczucia i tak wzniosłą filozofią.

—»Moje panie! zawołał poborca: to być nie może. Jakże chcecie, ażeby to plemię, uważane za nieczyste w Indyach, nie zstąpiło bez żadnego wyjątku do nikczemności swego położenia? Pogarda rodzi sromotę. Kasta dotknięta potępieniem, dojść musi do okropnej przewrotności uczuć i obyczajów. Naznaczeni tak straszliwem piętnem, nie wywyższą się nad swoje pochodzenie; parja nie może być ani wielkim filozofem, ani uczciwym człowiekiem.

—»A przecież to się przytrafia: rzekł poważnie adwokat, przeglądając ryciny *Chatki indyjskiej*. Ja sam znałem ro-



dzinę pariów: byli to uczciwi ludzie, zareczam, i lubiłem z nimi rozmawiać.

— »Pan byłeś w Indjach? zapytał się poborca.

— »Nie, panie, nigdy.

— »Ach! mniemałem... lecz pan mówisz jak gdybyś był świadkiem naocznym.

We Francyi znałem rodzinę pariów: z prostotą odpowiedział adwokat: tak jest pariów, prawdziwych pariów, ludzi, których każdy biedak uważał jako niższych od siebie; przed którymi każdy uciekał, z którymi zetknięcie się przynosiło niesławę; ludzi żyjących w odosobnieniu od świata, i rozdzielonych od niego niezwalczonym przesądem. Nikt nie byłby usiadł z nimi do stołu, nikt nie byłby dotknął się ich ręki, a przecież byli to ludzie dobrzy, nie szkodzący nikomu, pełni rezygnacyi i szlachetnych uczuć. Czy chcecie ażebym wam opowiedział to zdarzenie?

Wszyscy zaczęli słuchać z natężoną uwagą. Adwokat poprosił o szklanekę wody z cukrem, a potem opowiedział co następuje:

»Przed trzydziestą i kilka laty byłem młody i słuchałem kursu prawa w Aix. Stara ta stolica Prowancyi, bardzo była podupadła; trawa rosła na pustych ulicach; akademie mało uczniów liczyła. Byłbym umarł z nudów w Aix, gdybym nie szukał częstych rozrywek w Marsylii. Bez ustanku odwiedzałem to miasto. Lecz zdarzyło mi się pewnego razu, że przez cały tydzień nie ruszył się z Aix; było to podczas posiedzenia sądu przysięgłych. Sądzone sprawę o rozmyślne morderstwo. Pomijam jej szczegóły. Oskarżony należał do bogatej rodziny; powodowany zazdrością zabił żonę: skazano go na śmierć. Sprawa ciągnęła się przez dni pięć; był niezmierny tłum widzów lecz zawsze przychodziłem za późno i nie mogłem dostać miejsca. Raz tylko widziałem oskarżonego. Brat jego, czło-

wiek słuszny, jak mówiono, stał przy nim i dodawał mu odwagi; wszystkich odznaczyło jego poświęcenie, a jednakże gdy wychodził do ustępowej sali, każdy oddalał się od niego jak od zapowietrzonego i on nie miał przemówić do nikogo.

Gdy już ogłoszono wyrok, brat ten uściskał skazanego na śmierć i odprowadził go do więzienia. Widziałem ich z daleka; było to widowisko, aż do łez rozrzewniające. Skazany nie chciał odwołać się od wyroku i w kilka dni potem oznajmiono, że tracenie odbędzie się w Marsylii, nazajutrz, jako na miejscu popełnionej zbrodni.

Byłem wówczas na kursie z kilkoma towarzyszami; umyśliliśmy pójść do Marsylii, nie dla widzenia śmierci tego nieszczęśliwego, lecz dla zobaczenia tłumu który się zbiegnie z okolicznych wiosek. Mieliśmy wyjechać o piątej godzinie rano, po kilku razem; na nieszczęście zaspałem aż do szóstej i przyszedłszy na miejsce schadzki, już nie zastałem ni-

kogo. Obraziłem się, iż odjechali nie zapukawszy przynajmniej do mego pomieszkania, i postanowiłem odbyć tę podróż piechotą, jedynie tylko dla pokazania iż się obejdę bez powozu.

Było to w miesiącu Kwietniu, czas był bardzo przyjemny, słowiki całą noc śpiewały, morwy zieleniły się po obu stronach drogi, pola okryte były pięknym zbożem, a z daleka czuć było woń kwiatów łącznych.

Szedłem lekkim krokiem, prawie upojony wpływem dnia tak pięknego; byłem szczęśliwy sam nie wiedząc czemu; życie okazywało się w moich oczach ukwiecone i obszerne, jak widokraż który miałem przed sobą. O Boże! zawołałem, jakże jest miło żyć! i natychmiast pomyślałem o nieszczęśliwym, który przed kilkoma godzinami odbył tę samą podróż wieziony na plac śmierci; ta myśl oddaliła wszystkie wrażenia szczęścia; ulitowałem się nad tym człowiekiem, tak jeszcze młodym i peł-



nym życia. Obarczały mię te myśli: zacząłem iść prędej, ażeby oderwać się od nich; pragnąłem kogo spotkać i z nim rozmawiać; lecz nikt nie przejeżdżał oprócz furmanów, a gdym się im uklonił ręką i powiedział dzień dobry, odpowiedziano mi toż samo i na tém kończyła się rozmowa.

Nareście postrzegłem człowieka czarno ubranego, który, z rękami założonemi na krzyż, szedł powoli, jak gdyby na przechadzkę. Przyśpieszyłem kroku i przypatrzyłem mu się idąc w równi z nim po drugiej stronie drogi. Nawet nie spojrzał na mnie. Był to człowiek mający około pięćdziesięciu lat, wysoki i nieco pochylony, nosił wielkie zielone okulary, chustkę lekko zawiązaną na szyi, surdut z cienkiego sukna, chociaż nieco dawnym krojem, a całe jego ubranie, lubo porządne, oznaczało człowieka opóźnionego pod względem mody. Podobała się mi twarz jego łagodna i spokojna. Zdawało

mi się żem go gdzieś widział i nagle przypomniałem sobie sąd przysięgłych, skazanego na śmierć i jego brata, który szedł za nim twarz zasłoniwszy chustką; był to jego wzrost, ubiór i postawa. Widok ten uczynił na mnie niejakie wrażenie, pozostałem w tyle o dziesięć kroków, a potem powodowany nie wiedzieć jakąś ciekawością i chęcią wzruszeń, zbliżyłem się ażeby z nim zacząć rozmowę. Znowu się zatrzymałem, a potem go wyprzedziłem. I tak szliśmy blisko ćwierć mili. Nie zważał bynajmniej na moje zabiegi. Nareszcie nie wiedząc jak zacząć rozmowę, rzekłem ze studencką niezręcznością: — »Proszę pana, która godzina?

To pytanie było bardzo podobne do impertynencyi, uczułem to natychmiast, lecz udał że tego nie postrzega, a wyjąwszy piękny zegarek, odpowiedział nie patrząc na mnie: — »Jest już trzy kwadransy na ósmą.

—»Idąc wolnym krokiem, można zejść do Marsylii około południa. Mamy piękną pogodę.

Skinął głową na znak potwierdzenia. Widząc iż nie chce prowadzić rozmowy, rzekł: —»Prześliczny czas! jednakże nudziłem się idąc bez towarzysza, i niecierpliwie pragnąłem spotkać podróżnego idącego pieszo jak ja.

Zatrzymał się, a patrząc na mnie, rzekł ze smętną godnością: —»Mnie mam panie, iż mu jestem znany?

Wyrazy te rozproszyły moją wątpliwość, odważyłem się namienić o jego położeniu, i zawołałem z nadętością:

—»Zbrodnia, nie zaś rusztowanie stanowi niesławę człowieka! wolny jestem od przesądów; jest to skutek rozsądnego wychowania; wszyscy ludzie powinni tak myśleć.

—»Ach! panie, rzekł ze wzruszeniem: może sam tylko jesteś...

—»Świat jest pełnym niedorzeczności: przydałem chlubiąc się z mojej fi-

lozofii; nie przyznaje on wielkich zasad sprawiedliwości i słuszności; ja zaś mniemam, iż każdy jest tym na co zasłużył przez swoje postępowanie.

Nagle wracając do mojej pierwszej myśli, rzekłem: — »Jakże lituję się nad panem! Okropnym będzie dzień jutrzejszy!

— »Dosyć tego! przerwał zmienionym głosem; nie mówmy o tém.

Wówczas zabrakło mi przedmiotów do rozmowy, tak byłem przejęty okropnością dnia następnego. On szedł z pochyloną głową. Przez zielone okulary nie mogłem dostrzedz jego spojrzeń, lecz wystawiałem sobie iż są posępne i łzawe. Szliśmy w milczeniu przez kilka minut; nareście rzekł do mnie ze spokojnością, którą uważałem za najszczytniejsze wysilenie rezygnacyi i filozofii.

— »Jak wielką ulgę przynosi mi tak piękna pogoda! To świeże i wonne powietrze, pokrzepia ciało i duszę.



— »Lubisz pan żyć na wsi? rzekłem.

— »Tak jest, lubię pola, a zwłaszcza samotność. Najmilsze dni moje są te, które przepędzam w pośród mojej rodziny, w małym zakątku ziemi, gdzie hoduję kwiaty i drzewa owocowe.

— »Pan jesteś żonaty?

— »Jestem wdowcem po dwóch żonach, odpowiedział z westchnieniem.

— »Lecz masz dzieci?

— »Mam z pierwszej żony córkę, która już dochodzi do dwudziestego roku życia; druga zostawiła mi dziecię! pięknego aniołka.

— »Jest to wielką pociechą dla pana: rzekłem z politowaniem.

Smutnie skinął głową i nic nie odpowiedział na te pospolite wyrazy. Szliśmy wolnym krokiem jak na przechadzce. Po chwili milczenia znowu rzekłem:

— »W rzeczy samej, nie spodziewałem się że spotkam pana. Jakże mogłeś odważyć się odbyć tę drogę samotnie?

—»Nie jestem sam, odpowiedział zatrzymując się i patrząc za siebie; moi ludzie i powóz jadą za nami.

Obróciłem się także, lecz nic nie widziałem. Mój towarzysz szedł coraz wolniej, tak, iż jego powóz i ludzie wkrótce mogli byli nas doścignąć. Znowu chciałem zawiązać rozmowę, przerywającą się mimo wszelkich usiłowań moich.

—»Zdaje się, iż pan lubisz hodować kwiaty; czy masz osobliwe gatunki?

—»Raczej piękne, niżeli osobliwe. Mam tulipany bardzo piękne, lecz nie sądzę, iż są jedyne w swoim gatunku. Mam także wiele gatunków róż; lubi je moja córka. Tego roku będą bardzo okazałe. Pączki już są spore.

Zdumiałem się słysząc tę uwagę. Pomyślałem o tym straszliwym wyroku sądu przysięgłych, o celu podróży i o dniu jutrzejszym. Ten człowiek, jakże miał czas przypatrywać się różom? Spokojnie rozmawiał dalej o swoim ogrodzie;

jego rozmowa tak była naturalna, tak rozsądna, tak trafna, a jednak zdawało mi się że ją za bardzo zbliża do stylu sielanki. Swój dom wiejski nazywał pustelnią, unosił się nad swoją ptasiarnią, powiadał jak się nazywają jego oswojone sarny. Wśród tego uniesienia zatrzymywał się niekiedy i spoglądał czy nie nadjedzie powóz, którego nie mogłem jeszcze dostrzedz moim słabym wzrokiem, pośród tumanu kurzawy. Polubiłem rozmowę tego człowieka, może dla tego właśnie, iż nie była podobna do żadnej innej. Była to mieszanka pełna oryginalności i dowcipu. Od ogrodnictwa i botaniki, nagłe przejście zwróciło nas do historii krajowej. Mój towarzysz znał ją dobrze i opowiedział mi fakta niezmiernie ciekawe.

—»Lecz gdzieżeś je pan wyczytał? zapytałem się.

—»W starych archiwach w pałacu sądowym, odpowiedział. Mój ojciec brał mię z sobą, lecz nie mogłem do-

siedzieć w sali. Skoro tylko przypro-  
wadzono więźniów, uciekałem aż na  
najwyższe piętro wieży i tam czytałem  
stare papiery, których od stu lat nikt  
się nie dotknął. Są tam rzeczy bardzo  
ciekawe i ważne.

Chociaż nie ustawała rozmowa, uczu-  
łem mocne znużenie. Doszliśmy w tej  
chwili do małej karczemki.

—»Panie, rzekłem do mego towarzy-  
sza: czy zechcesz ażebyśmy zaczekali  
na twój powóz? Mam apetyt, a jeżeli  
raczysz przyjąć małe śniadanie w tym  
domku....

—»Panie, jestem bardzo wdzięczny...  
nie spodziewałem się tego zaszczytu...  
wyjąkał z większym podziwieniem ni-  
żeli pomieszaniem.

Postrzegłem iż go zadziwia moje wy-  
wyższenie nad pospolity przesąd. Ja-  
koż, była to rzecz osobliwa zaprosić na  
śniadanie człowieka, którego brata mia-  
no ściąć w dniu jutrzejszym. Nie miałbym



tyle filozofii, gdybym nie był pewnym że mię nikt nie zobaczy.

Wszedłem do karczemki; gospodyni pokazała mi swoją izbę jadalną. Była to komora czarna jak piekło, cztery stołki i stół kulawy, składały jej umeblowanie.

—»Niepodobna tu zostać! zawołałem, wstydzając się że zapraszam na śniadanie do tak brudnego miejsca; pójdźmy tam, do téj murowanej oberży.

—»Lecz tu nam jest bardzo dobrze, panie: odpowiedział siadając na stołku. Wolę tu zatrzymać się, niżeli tam dalej.

I przydał z nieśmiałością:

—»Przepraszam pana, nie chciałem wstępować do téj murowanej oberży, szczególnie przez wzgląd na pana; sądzę że jej właściciel wie kto jestem.

—»Nic mię to nie obchodzi, zaręczam panu! zawołałem. Jednakże wolałem pozostać i kazałem zrobić śniadanie.

Przez ten czas gdy gospodyni krzątała się koło jedzenia, mój towarzysz

wychodził i wyglądał na drogę. Za kwadrans wszedł, mówiąc:

— »Nareście przyjechali.

Wstałem chcąc zobaczyć powóz tego dobrego jegomości. Wózek stał na środku drogi z jakąś machiną pomalowaną czerwono. Wówczas dopiero poznałem człowieka i jego powóz. Był to kat i gilotyna!

Adwokat zatrzymał się na te słowa wyrzeczone cichszym głosem; lecz zawołaliśmy jednozgodnie:

— »I nie uciekłeś?

— »Poleciałem aż do Marsylii, odpowiedział.

— »A potem?

— »Potem nie chwaliłem się przed nikim z tego spotkania.

— »To wszystko coś pan mówił, rzekł poborca, nie zbija bynajmniej zdania mojego. Przyznaję, że spotkałeś istotnego paria; lecz żeś z nim mówił przez trzy kwadranse, czyliż go poznałeś z gruntu? Łatwo mu było zwieśdzić cie-

bie, mówić tonem sentymentalnym, ukryć na chwilę nikczemność uczuć swoich i nałogów; gdyż jestem pewny że one zgadzały się z jego położeniem. Chcąc o nim sądzić, trzeba go było z bliska widzieć.

— »Bez wątpienia, spokojnie odpowiedział adwokat; lecz zaczekajcie, jeszcze nie skończyłem mego opowiadania.

— »To co innego. Widziałeś więc kata pośród jego rodziny?

— »Tak jest panie, widziałem, i tym razem ja do niego poszedłem. Po tém dziwaczném spotkaniu na gościńcu, zajęty byłem głębokimi myślami. Z razu opanowało mię uczucie wstrętu, potem zatarły się te wrażenia, a niepojętém dziwactwem powodowany, pochodzącém zapewne z téj potrzeby wzruszeń, której doświadczają nieczynne dusze, pragnąłem zobaczyć tego człowieka, którego mi się prawie obawiał. Z razu myślałem tylko o nim, później ośmie-

liłem się szukać środków do osiągnięcia tego celu. Jest w okolicy Aix, miejsce zwane *lei Baumettos*, co znaczy małe groty. Są to wydrążenia wyźłobione w niezmiernych bokach skał czarńawych, obnażonych, niepłodnych, gdzie w rozpadlinach rosną nędzne drzewa figowe. Ubogie kobiety pasą kozy na tych piekłych wzgórzach. W owym to zakątku, był wiejski domek kata. Wiedziałem o tém i w miesiąc po mojej podróży do Marsylii, poszedłem na przechadzkę w tę stronę. Prawie ze drżeniem zapuściłem się w tę samotną i głęboką drogę, podobną do łożyska potoku; szła ciągle w górę, trawa rosła tam pomiędzy kamieniami, nie było widać żadnego śladu stopy ludzkiej. Im wyżej wstępowałem, tém spieklejsza była ziemia, skały nagromadzały się obnażone, dzikie ich wierzchołki pozbawione zieloności uwieńczał janowiec którego żółte kłosa kołysały się z wiatrem.



Usiadłem przy końcu drogi; przejmowało mię niepojęte wzruszenie, czułem jakiś przestach, jak gdybym wdarł się był w dziedzinę nadludzkiej istoty, jak gdyby jakie straszliwe zjawisko miało stanąć przedemną. Biło mi serce, pot zimny oblewał skronie, drżałem, a przecież miłe mi było tak gwałtowne położenie; nigdy jeszcze nie byłem tak mocno wzruszony aż do głębi duszy. Gdym był w takim stanie, w około mnie panowała spokojność i milczenie. Słyszałem tylko krzyk świerszczów ukrytych pod gałązkami janowca. Słońce już było na zachodzie, jego ukośne promienie rzucały wspaniałą barwę na tę obnażoną skałę, powietrze było przejrzyste i wonne, niebo jaśniejące pogodą.

Sledziłem wzrokiem zakręty drogi, aż do miejsca gdzie ginęła między skałami obnażonemi zupełnie. Za tą łąką tak powiem bramą, postrzegłem wierzchołki kwitnących grenatów. Chcia-

łem przekroczyć tę granicę, do której nikt {nie} zbliżył się przedemną, gdy w tém ujrzałem idącą gromadkę; jej widok zatrzymał mię na miejscu mojem.

Kat szedł naprzód, z rękami założonemi, na krzyżu i miał też same suknie w których go byłem spotkał, postawa jego wyrażała spokojność i obojętność. Za nim szła młoda dziewczyna, kształtna i drobna; miała wielki kapelusz słomiany, suknię muślinową, jedwabny fartuszek i chustkę na szyi; ubranie to nie było podług mody, lecz bardzo zgrabne. Obracała się kiedy niekiedy i pieściła się z dziecięciem, które niósł człowiek na ręku, najdziwaczniejszej postaci jaką kiedykolwiek widziałem. Człowiek ten, był już stary, miał czarną suknię, trzewiki i atłasową kamizelkę; wszystko to było za duże, za szerokie, i oczywiście nie na niego zrobione. — Włosy miał rude i płasko uczesane, oczy małe, szyję jak u żurawia. Ilkroć dziecko głaskało go po twarzy tłu-

stemi rączkami, uśmiechał się, otwierał gębę aż do uszu i pokazywał zęby białe i ostre jak u ludożercy.

Te trzy osoby, przyszedłszy o kilka kroków odemnie, zatrzymały się zdziwione i wahające się; nigdy może nie spotkały nikogo tak blisko ich posiadłości. Ojciec mię poznał i był najbardziej zmieszany. Wstałem wówczas i śmiało przystąpiłem do niego. Nie wiem jak się to stało, lecz nagle odżyłem krew zimną.

— »Dzień dobry, mości Coquelin, rzekłem witając go po nazwisku, dzień dobry. Powracasz więc do twojej pustelni?

Młoda dziewczyna spojrzała na mnie zdumiona, mały chłopczyk zląkł się i ukrył twarz na ramieniu swego dziwnego piastuna; Coquelin rzekł z prostotą:

— »Panie, nie spodziewałem się wcale, że będę miał przyjemność widzieć go znowu.

Za nic w świecie nie byłbym wyznał prawdziwego powodu mojej pomyłki, rzekłem więc najspokojniej jak tylko można:

—»Nie spodziewałeś się że mię zobaczysz? A to dla czego? Żem nagle odbiegł od ciebie? Nie przed tobą uciekałem. Lecz nie miałem mocy nad sobą; przestraszył mię widok gilotyny.

—»To rzecz bardzo naturalna; rzekł z westchnieniem.

—»Postąpiłem sobie jak szaleniec; nie powinienem był patrzeć i na tém koniec. Bardzo żałuję żem się tak rozstał, i widzisz żem przyszedł aż tu dla widzenia się z panem. Czyliż ci przykro żeśmy się znowu spotkali?

—»Nie panie, gdyż jesteś jak mi się zdaje dobrym młodzieńcem. Chceszli zobaczyć moją małą posiadłość? przydał, usuwając się ażebym poszedł za nim.

—»I owszem, odpowiedziałem, lecz nie idźmy tak prędko, dzieci pozostały za nami.



—»Moja córka nie śmie zbliżyć się, pierwszy raz widzi obcą osobę; nikt z nią nie gadał oprócz moich służących. Ach! panie, jakaż to okropna zaporą istnieje między tą biedną niewinną dziewczyną, a całym światem! Żadna zakonnica nie jest tak odłączona od wszelkiego związku z ludźmi.

—»Ma związki rodzinne i te mogą jej zastąpić wszelkie stosunki ze światem. Musisz być dobrym ojcem?

—»O! tak jest, zapewne... a jednak gdy zapatruję się na los moich dzieci, żałuję tego że je spłodził. Powiniennem był nie żenić się... Lecz ileż na to potrzeba odwagi! Życie pozbawione wszelkiego przywiązania, tak jest okropne! Ludzie żyjący w świecie mają przyjaciół, zażyte stosunki, lecz my!... I dla tego potrzebowałem mieć rodzinę. Kogóżbym kochał, z kimżebym rozmawiał, gdybym nie miał tych dwojga dzieci? Lecz ja to jestem szczęśliwy że je mam, nie zaś one, biedne aniołki!...

Głos jego zmienił się, tży stanęły mu w oczach; a potém wstydząc się takiego wzruszenia, przydał z zimniejszą krwią:

—»Przepraszam pana, musiałeś postrzedz że mam uczucia śmieszne i niewłaściwe dla człowieka mojego wieku i stanu.

—»Czuję, i podzielam dolegliwości twojego położenia i mocno mię wzrusza twoje zaufanie.

Nie śmiał podać jej ręki i tylko uśmiechnął się na znak podziękowania. A potém obróciwszy się do córki, która o kilka kroków pozostała za nami, rzekł do niej:

—»Pójdź Julio, pokażemy temu panu twoje krzaki różane.

Wzięła pod rękę ojca i odpowiedziała nie patrząc na mnie:

—»Pączki róż już się rozwinęły; zapewne pan piérwszy raz zobaczy ten gatunek, gdyż jest bardzo rzadki.

Weszliśmy, i zatrzymałem się zdziwiony widokiem krajobrazu nagle roz-

wijającym się przed mojami oczyma. W tym obwodzie tysych i przepalonych skał, mieściła się wązka dolina uwieńczona chłodnym cieniem i najpiękniejszą roślinnością pokryta. Kręta ścieżka prowadziła do domku opartego o skałę, bluszcz zastaniał jego wystawę, a w około były akacje.

—»Raj! zawołałem.

—»Raj, w którym nas Bóg zaniknął, rzekła młoda dziewczyna z melancholicznym uśmiechem. Pan jesteś pierwszym co śmiałeś wniknąć do niego.

Zdziwił mię akcent tych wyrazów tak prostych; już chciałem odpowiedzieć na nie pospolitą grzecznością, lecz ton i naiwny uśmiech tej dziewczyny wskazał mi, że nie można mówić do niej tym samym sposobem co do innych: byłaby mię nie zrozumiała.

Człowiek pracował przed domem; był ubrany tak samo prawie jak i ten który piastował dziecię, w mieszanie sukien wszystkich stanów.

—» Nie żyjesz zupełnie samotny? rzekł do Coquelina.

—» Ci ludzie są to moi posługacze, dopomagają mi do uprawiania ogródka; nie mam innych służących. Któżby chciał być u nas? Najnędniejsza żebraczka, umierająca z zimna i z głodu, nie chciałaby przystać do nas, chociażby w ciągu roku jednego dostała więcej, niżeli przez całe życie zarobić zdoła?

—» Oto jest mój ogródek, rzekła młoda dziewczyna otwierając lekkie wrota.

Był to kwadrat zasadzony różami; pośród ich ciemnych liści, jaśniały wszelkie odcienia kwiatów od białego aż do ciemno-czerwonego koloru. Róże rozwijały się przy wieczornym chłodzie i zachwycającą woń rozpościerały w powietrzu. Pośród tego żniwa kwiatów, kilka młodych cyprysów wznosiło ciemne wierzchołki i zacieniało studnię otoczoną jaśminem i różami. — Tam usiedliśmy; byłem roztargniony, przejęty podzi-



wieniem, zmieszany.... Wszystko com widział, tak się różniło od wyobrażenia którem był sobie utworzył.. zwłaszcza ta młoda dziewczyna... Często myślałem o niej, lecz nie w takiej widziałem ją postaci. Zdawało mi się iż to bydz musi piękność blada, posępna, surowa; a osoba stojąca przy mnie była świeżą jak róża; jej wielkie błękitne oczy łagodnie rzucały spojrzenia, a na jej czystém czole malowała się miękka spokojność i głęboka cisza.

Dziecię igrało na kolanach siost białe, piękne jak i ona. Zdało mi się że widzę obraz Madony Rafaela.

Coquelin mówił ze mną o swoim ogródku, o kwiatach; chętnie opowiadał, jakim sposobem utworzył sobie tę oazę pośród skał niepłodnych. Było to dzieło całego życia. Za pomocą dwóch służących poruszył tę niewdzięczną ziemię, wyrąbał cysterne dla zbierania wód deszczowych i wybudował domek.

—»Myślę zasadzić tam laszek sosnowy, rzekł wskazując na wzgórek gdzie ani źdźbła trawy nie było. Trzeba będzie wyłamać skałę prochem, nanieść ziemi roślinnej, na ten stos kamieni.

—»Lecz, odpowiedziała, tyle tu jest pięknych drzew; laszek sosnowy nie upiękni twojej posiadłości. Cóż ci przyniesie ta praca?

—»Czas mi zajmie. Z natury mojej lubię być czynnym. Cóż mam robić? Już oddawna nie czytam książek i usiłuję wytępić w sobie te myśli, któreby mię łączyły ze światem. Jest to dla mnie wielkie nieszczęście, iż rozumiem wyższy język i wyższe wyobrażenia. Powiniennem był niczego się nie uczyć i oddzielić się od umysłowego związku z ludźmi, tak jak jestem oddzielony od ich towarzystwa. Zapóźno to postrzegłem, i nie zastosowałem tego przekonania do edukacyi moich dzieci.

Te wyrazy rzekł ciszej, patrząc na córkę, która wstała i przechadzała się powoli między różami.

—»Tak jest, mówił dalej; nie wychowałem Julii stosownie do jej położenia. Zamiast rozwijania jej umysłu przez naukę, trzeba go było przytłumiać i zgasić, trzeba było zamknąć go w ciasnym obrębie. Roślina która raz widziała promienie słońca, prędzej umiera, gdy ją znowu zostawia w cieniu. Moja córka pojmuje to wszystko, co jest za naszym szczupłym kołem życia. Ma wykształcony rozum, szlachetną duszę, wzniosłe uczucia. Biedne dziecko! i cóż zrobi z tém wszystkiém. Żyje sercem i wyobraźnią; wolałbym, ażeby węgutowała bez myśli.

—»Zdaje mi się że jest szczęśliwa.

—»Tak jest, teraz gdy ma dopiero lat dwadzieścia, i gdy ja żyję; lecz później...

—»Później!... któż przewidzi co się stać może?

— »Nie panie, nie. Jej położenia zmienić nie może żadna potęga ludzka;

nie zatarta skaza wyciśnięta jest na jej czole.

— »Może zmienić swoje nazwisko, rzekłem nieuważnie.

— »Tak jest, odpowiedział Coquelin z głęboką goryczą, przestanie nazywać się córką kata z Aix, a przybierze nazwisko żony kata z Grenoble.

Te wyrazy odbiły się w mojem sercu i zawołałem z oburzeniem:

— »Co, wydasz twoje dziecię, tę dziewczynę tak piękną, tak czystą, za tego nieszczęśliwego?

— »I któżby inny chciał ją zaślubić?

Pochyliłem głowę, — Coquelin zamilkł; jego córka szła ku nam.

— »Panie, rzekła bojaźliwie, może zechcesz wybrać kilka kwiatów? Oto są piękne róże kapucyńskie, nie znajdziesz nigdzie im podobnych; są jeszcze w pączkach, weź je, jutro się rozwina. Czy nie chcesz je zerwać?

I wskazywała na krzak różany, nie



śmiejąc dotknąć się kwiatów, które mi ofiarowała.

—»Przyjmę je chętnie, odpowiedziałem, jeżeli je sama zerwiesz.

Schyliła się zapłoniona i zrobiła piękny bukiet. Przyjąłem go z podziękowaniem pełnym wzruszenia. Rozrzewniałem się i litowałem z uszanowaniem, widząc tak wielkie nieszczęście tak ogołoczone z wszelkiej nadziei, połączone z tak pokorną rezygnacją.

Coquelin kręcił się koło mnie jak gdyby czegoś żądał. Nareszcie rzekł: |

—»Panie, zaprosiłeś mię na śniadanie, czyliż mogę prosić pana ażebyś wieszerał z nami?

—»Bardzo chętnie, odpowiedziałem bez wahania.

Weszliśmy do domu. Stół był nakryty przy wnijsciu do przysionka, ozdobionego rycinami i miernymi obrazami. Meble były starożytnie, niedobre i

bardzo bogate. Srebrne sztucce leżały na stole, obrusy i serwety były prześliczne. Coquelin postrzegł podziwienie moje.

—»Jestem bogatym, rzekł do mnie: bardzo bogatym ze względu na potrzeby i sposób życia. Chętnie obracam moje przychody na zakupienie wszystkiego, coby mogło upiększyć ten wiejski domeczek, jedyne miejsce gdzie ja i moja córka lubimy przebywać. Nasz dom w mieście tak jest posępny: z jednej strony wychodzi na wały, z drugiej na cmentarz. Mieszkamy tam syn po ojcu, już od lat stu pięćdziesięciu. Nikt inny nie chciałby tam osiąść. Obmierzało mi to miejsce; uciekamy do tego schronienia; przeniósłem tu kosztowniejsze sprzęty, obrazy, a mianowicie książki; mam dobrą bibliotekę.

Zasiedliśmy do stołu. Słudzy wpatrywali się we mnie, nie mogąc zrozumieć co znaczy moja obecność, służyli bacznie, z pośpiechem i milczeniem.

Coquelin i jego córka odzywali się do nich z poufałą powagą. Co się mnie dotyczy, nie śmiałem spojrzeć na nich; okropne rzeczy przychodziły mi na myśl, ilekroć jeden z tych ludzi odmieniał mój talerz; lękałem się tych wielkich rak kościstych. Zapewne ich młoda pani zgadła powód mego wstrętu, gdyż od-tąd sama podawała mi potrawy. Wi-dząc że jej usłużność nie odstręcza mię, ośmieliła się. Rzeczy można, iż bié-dna dziewczyna wdzięczna mi była że ją odróżniam od pachotków jej ojca.— Już oddawna musiała być przygoto-waną na okropność pogardy, że tak mo-cno czuła ten dowód względności. Z ra-zu zmieszała ją moja obecność, lecz ochłonąwszy z podziwienia, rozmawia-ła z wdziękiem i łatwością. Nie zna-ła zalotności i próżności, lecz posia-dała naiwną szczerość i miłą prostotę. Po upływie dwóch godzin, rozmawiała ze mną tak, jak gdyby znaliśmy się prze z całe życie. Wiele podróżowałem i znam

świat i ludzi, lecz nigdzie nie widziałem kobiety, któraby z blizka czy z daleka do niej była podobna. Rozmawiała jak osoba, która nauczyła się z książek myśleć i mówić; miała umysł trafny, ciekawy i łatwowierny jak dziecię, a wyobrażenia człowieka nawykłego z wysoka zapatrywać się na życie. Jój dusza nie znała drobnych i marnych namiętności rozwijających się przy stosunkach ze światem; jój uczucia były wielkie, exaltowane, szlachetne.

Po wieczerzy, Coquelin wziął świecę i pokazał mi swój domek. Dziwacznie urządzone był ten domek. Wszędzie były kwiaty; pokoje podobne były do szklarni; znajdował się tam dziwaczny zbiór rzadkich i pospolitych rzeczy. — I tak, postrzegłem na kominku ceglany brązowy zegar pomiędzy dwoma suchymi tykwami. Przysionek był zarazem salonem i jadalną izbą; biblioteka była obok, znalazłem tam kilka pięknych dzieł i wiele starych książek.



W głębi tego pokoiku, były drzwi zasłonięte firankami; chciałem tam wejść, lecz Julia dotknęła się mojej ręki i rzekła z prostotą:

— »Panie, to mój pokój.

Puściłem firankę, a przecież byłbym wszystko w świecie poświęcił, dla zobaczenia tego ukrycia, do którego nie wszedł żaden mężczyzna. Jakże czystą była ta młoda dziewczyna, otoczona tak straszliwym wałem? Nie skaziło ją żadne spojrzenie, żadna żądza; była to piękna lilia rozwinięta w głębi przepaści, zdala od ludzkiego oka.

Wróciliśmy na taras, noc była ciemna i pogodna, gwiazdy drżały na firmamencie, wietrzyk nie budził uspio-nych liści, kwiaty schylały głowę odciążoną kroplami rosy, a ich woń rozpościerała się w wilgotnym chłodzie. Ta cisza, to milczenie, ta głęboka spokojność w około panująca, wprowadziły mię w usposobienie serca i umysłuktórego nigdy nie znałem: był to jakiś

niepewny smutek, jakieś niewymowne rozrzewnienie. Nagle uczułem że jestem oderwany od przeszłego życia mego; uważałem świat z nowego zupełnie stanowiska, zdawało się że wszystkie przedmioty któremi się dotąd zajmowałem, były czeze i nikczemne, i że jedyne upragnione szczęście na tym świecie znajduje się w położeniu samotnem, ukrytém, na łonie rodziny.

Czas szybko upłynął, a jeszcze czułem że więcej żył w tym jednym dniu tak obfitym w wzruszenia, niżeli przez resztę życia mego. Odszedłem prawie o północy. Coquelin i jego córka towarzyszyli mi aż do granic swojej posiadłości. Rozstając się z nimi, rzekłem: »Przyszedłem tu powodowany uczuciem politowania i ciekawości; a przychodzić będę dla utrzymania przyjaznych stosunków, które już mi są drogie.«

Téj nocy nie spałem wcale, a nazajutrz zawczasu już byłem przy grotach. Od

tego dnia, bywałem tam dwa lub trzy razy w tydzień. Nic nie zmieniło moich pierwszych wrażeń; rzeczywiście, natrafiłem na dwie piękne i święte dusze, na dwie istoty oddzielne, pokorne, sprawiedliwe, uległe losowi swojemu, nie czujące nienawiści dla reszty ludzi którzy ich bez litości trzymali w głębi ich nikczemnego położenia. Biedna rodzina pariów, uderzyła pogardę świata nie narzekając na nią; nie splamiła jej błoto które na nią rzucono; wypełniała w ustroniu cnoty, nieznane tym co ją nogami deptali.

Adwokat wyrzekł wzruszonym głosem te ostatnie wyrazy; wszyscy słuchali go jeszcze, a nawet i poborca; lecz on oparł się na stole i zaczął przetrzucać *Chatkę indyjską*, z roztargnioną miną i jakoby pogrążony w swoich wspomnieniach.

— »I jakże skończyły się pana stosunki z tą rodziną? zapytałem się po chwili milczenia.

Przeciagnał rękę po oczach i odpowiedział cichym głosem:

—»Jest drugie zdarzenie.

—»I nie chcesz go opowiedzieć?

—»Jest to zdarzenie boleśniejsze od tego, które opowiedziałem; nieszczęście które śmiertelnie zraniło moje serce; mogę wam je opowiedzieć; wszyscy o których mówić będę umarli dawno, a to co wyznam, mnie się tylko samego dotyczy.

Przez chwilę zebrał myśli swoje i mówił po tém z zimniejszą krwią:

»Trzydzieści lat już upłynęło; czas uniósł ze sobą krótko-trwałe szczęście i okropną boleść téj epoki życia mego, lecz jój wspomnienie zawsze jest żywém i obecném w duszy mojej. Po pierwszej bytności uczułem iż kocham córkę Coquelina: nie przestraszyła mię ta miłość. Wyuzdana potrzeba wzruszeń pożerała mię wprzódym nim ją poznałem. Zaspokoilem tę potrzebę i znalazłem cel i potężne zapory pośród pospoli-



tych i jednostajnych wrażeń; żyłem na-  
reście sercem i wyobraźnią. Nie chcia-  
łem przewidywać przyszłości. Było to  
dziwaczne życie. Trzeba było nie-  
małej zręczności i ostrożności, ażeby  
utać moje nowe stosunki, przed oczyma  
ciekawych i bezczynnych przyjaciół.—  
Postrzegłem iż tego nie dokażę, jeżeli  
nie opuszczę miasta. Chcąc żyć sam  
swobodnie, najałem domek wiejski o  
ćwierć mili od grot. Z razu dziwiono  
się, widząc że tam chcę mieszkać; mó-  
wiono że to jest dziwactwo młodego  
i bogatego człowieka, który chce ba-  
wić się swobodnie; potem, gdy dowie-  
dziano iż sam żyję, i nie chcę wrócić  
do miasta, nazwano mię niedźwiedziem,  
maniakiem, żaden z przyjaciół nie chciał  
mię odwiedzić, lecz cóż mię to obcho-  
dziło że przez dzień jestem samotnym?  
Co wieczór przychodziłem do grot. Od  
pierwszego poznania, szalenie zakocha-  
łem się w Julii; dwa miesiące upły-

8\*

nęty, a nie śmiałem wyznać przed nią — mojej miłości; byłem jednak pewny że i ona mię kocha. Może tylko brakowało mi sposobnej pory, gdyż jej ojciec zawsze był przy nas. Nie był dla mnie przykrym ten przymus. Kochałem szczerze i nie myślałem o uwiedzeniu. Miłą mi była przyjaźń tej dobrej rodziny; nigdzie nie znalazłem tyle życzliwej dobrotliwości, tyle delikatności, tyle uprzejmości otwartej i łatwej. Coque-  
lin okazywał mi wiele zaufania, w jednym tylko względzie ciągle zachowywał milczenie i mimo wszelkich moich napomknień, nigdy nie wspominał o przyszłym losie córki. Przedmiot ten wzbudzał we mnie okropną obawę i ze wstrętem odwracałem od niego myśl moją.

Rozbierając moje wrażenia, nie wiedziałem co się działo w duszy Julii; gasta pogoda jej spojrzeń i osobliwsza omdlałość ogarniała jej umysły; smutnym był jej uśmiech, rozmowa krót-

tsza i poważniejsza. Gdym przychodził, z razu udawała się na bok, potem zbliżała się zwolna, nie śmiała usiąść między mną a swoim ojcem, lecz gdy już usiadła, jakże zgadzały się nasze serca, jakże rozumiały się w tych długich rozmowach, w których nigdy nie wyrzekliśmy tego wyrazu, miłość!

Pewnego wieczora, przyszedłszy do grot, postrzegłem że Julia jest blada i smutna. Zdawało się że długo płakała. Coquehn nie był tak pomieszany, lecz i na jego twarzy widać było niełaką zmianę. Podał mi rękę, jak zwykle i prosił ażebym usiadł.

—»Cóż to jest? cóż się stało? rzekłem uderzony smutnym przecuciem.

—»Nic: odpowiedział z wysileniem: w naszym położeniu nie może spotkać nas żaden nieprzewidziany wypadek. O Boże! czyliżeśmy zasłużyli na takie przeznaczenie!

Zakrył twarz swoją. Julia zalała się łzami.

—»Lecz cóż to jest, cóż ci to? zawołałem z mocą; na Boga! zaklinam was. Czy jaka zniewaga?

—»Niestety! nie, rzekła Julia ocierając oczy: niedorzeczne są łzy moje. Przebacz mi dobry ojczy.

Ucałowała rękę Coquelina; przycisnął do serca jej piękną jasnowłosą głowę i mile z nią się pieścił.

—»No! no! rzekł, bądźmy spokojni i ulegli naszemu losowi. Na cóż przydadzą się te udręczenia? Czyliż nie powinniśmy byli oddawna nazwyczać się do tego życia. Cóż mamy sobie do wyrzucenia? Nie nasze to winy, lecz nieszczęście nas obarcza; jesteśmy godni politowania, lecz sumienie mamy spokojne.

Byłem przejęty żalem i podziwieniem. Pierwszy to raz widziałem Julię płaczącą nad stanem swoim. Cóż więc zaszło? Nie śmiałem się zapytać, czekałem, lecz nic mi nie powiedział. Zdało mi się że moja obecność pociesza



Julia, a przynajmniej że ją rozrywa. Uspokoila się; Coquelin przestał bydz tak smutnym i wieczór upłynął jak zwykle.

Odszedłem obarczony najsmutniejszymi myślami i przeczuciem jakiegoś nieszczęścia; żałowałem że się nie zapytałem Coquelina. Oczywiście stało się coś takiego co chcą ukryć przedemną; pamiętałem co mi powiedziano o kacie z Grenoble i myśląc o tém, doznałem niewysłowionego uczucia; była to pogarda, wściekłość, okropna zazdrość. Przepędziłem noc bezsenną, a nazajutrz o świcie wyszedłem z domu. Błąkałem się między skałami; nareście trawiony niespokojnością, umyśliłem pojsdz do Coquelina daleko wcześniej jak zwykle.

Dzień był burzliwy, ciemne chmury zbierały się na niebie. Nikogo nie było w alei, nikogo na tarasie; okna domku były zamknięte. Zbliżyłem się ze drzeniem, spoglądałem w około; przez chwilę mniemałem że Julia odjechała, że ją utraciłem na zawsze.

Wtem nagle wstrzymało się gwałtowne bicie mego serca. Kolana zgięły się podemną, złożyłem ręce dziękując Bogu; zabrakło mi głosu: córka Coquelina siedziała sama, w posępném zamyśleniu pogrążona. Wiatr odgarniał jej długie włosy i osuszał tży spadające powoli na jej wybladłe lica; wryte i smutne spojrzenie wlepiała na młodego braciszka, siedzącego przy jej nogach.

Przyszedłem nie postrzeżony.

Julio! rzekłem łagodnie. Wstała jak gdyby podniesiona niewidzialną ręką, znikł słaby rumieniec jej lica; położyła rękę na piersiach i rzekła:

— »Panie! to ty! ach! przyszedłeś...

Spojrzałem na nią, nic nie odpowiadając. Milczeliśmy oboje. Rzekłem na reście: Sama tu jesteś? dla czego? Gdzież jest twój ojciec i wasi ludzie?

Zastoniła sobie twarz i odpowiedziała przytłumionym głosem: — »Tam w mieście. Teraz już się wszystko skoń-

czyło... nie wiedziałeś... nie śmieliśmy powiedzieć wczoraj wieczorem.. Ach! mój ojciec... jakże okropny dzień!

Zadrżałem, zrozumiałem nareście. Julia prawie bez siły padła na ławkę kamienną; usiadłem przy niej, całowałem jej drżące i zimne ręce.

—»Tego więc płakałaś? rzekłem. Jakżem był nieszczęśliwy wczoraj wieczorem! lecz nie przyszedł mi na myśl dzisiejszy wypadek... Biedna Julio! oddałbym połowę życia, ażeby zmienić twój los; czy wierzysz temu?

Smutnie uśmiechnęła się i rzekła: —»Jesteś dobrym, jesteś sprawiedliwym i litośnym dla biednej nieszczęśliwej rodziny.

—»Tak jest, lecz, niestety! mogę tylko litować się nad tobą, szanować cię i kochać. Miej odwagę, ktoś wie? dłużej przyszłość mamy przed sobą. Julio! możemy być szczęśliwi.

Jej ręka zadrżała w mojej, spojrzała na mnie z niejakiem obłąkaniem i natychmiast odwróciła wzrok mówiąc: — »My! rzekła, my! i cóż może być wspólnego między losem biednej pogardzonej dziewczyny, odepchniętej od wszystkich, a losem człowieka szczęśliwego, szanowanego powszechnie. Ach! nie mów tego do mnie, boli mię to i zniewala do zajrzenia aż w głąb przepaści która nas rozdziela.

Schwyciłem jej rękę i rzekłem przyciągając ją do siebie: — »Miłość zapełnia tę okropną przepaść. Julio nie jestem twoim przyjacielem i twego ojca? Czyliż wahałem się zamknąć w okręgu zabronionym, w którym wy żyjecie? Jestem w nim szczęśliwy; cóż mię obchodzi reszta świata? Wszystkie jego uciechy oddam za godzinę ukrytego szczęścia, które tu znalazłem. To szczęście trwać będzie długo, trwać zawsze, jeżeli mię kochasz tak, jak ja ciebie kocham,



Oparła czoło na mojem ramieniu i płakała. Czy kochasz mię? rzekłem tak cicho, iż ledwie mogła mię dosłyszeć. Podniosła głowę i odpowiedziała ściskając moje ręce w swoich złożonych rękach:

—»Tak jest. Spraw o Boże! abym prędko umarła.

—»Chcesz umrzeć! umrzeć! lecz jestem tu, przy tobie, na zawsze.

Wstrząsnęła głową.

—»Nie wierzysz mi, rzekłem, a to dla czego? Czyliż pragnę rzeczy niepodobnych? Jestem prawie wolnym, dawno utraciłem matkę i dziedzicę po niej niepodległy majątek; ojciec nie sprzeciwia się mojej woli; władzę swoją ogranicza na udzieleniu mi dobrych rad i na tworzeniu względem mnie korzystnych zamiarów. Postanowiłem żyć na wsi; czyliż przez to poświęciłbym przyszłość moją? A przy tém, czyliż

odtąd mógłbym żyć bez ciebie? Gdy-  
bys wiedziała ile wycierpiałem wczoraj!  
jaka mię obawa dręczyła! Wciąż  
ukrywacie się przedemną... kilka wyrazów  
twego ojca, utkwily mi w pamięci.....  
Julio! jest człowiek który chce zaślubić  
ciebie; wiem o tém. Znasz go.

Skinęła na mnie abym przestał mówić  
i zawołała z rozpaczą:

— »Ja mam iść za męża!.. Nigdy! nie  
chcę wydać na świat istot tak nieszczęśliwych  
jak ja jestem. Pamiętam moją matkę; i ona  
także urodziła się z tą plamą i nie mogło  
jej pocieszyć przywiązanie najlepszego z  
ludzi. Sromota nasza wtrąciła ją do grobu;  
umarła, żałując że mię pozostawia na  
świecie. Nie pojmowałam wtedy ogromu  
naszego nieszczęścia; teraz brzydzę się  
takiem istnieniem; oddałabym całe życie  
moje, bylebym tylko przez jeden dzień  
uwolniła się od niego; lecz nie ma dla  
nas okupu i oczyszczenia!

Dziecię igrało przy jej nogach; wy-  
ciągnęło ku niej drobne rączki; spoj-  
rzała na nie z głębokiem politowaniem,  
i przydała :

—»A to biedne niewinne dziecko! bę-  
dzie musiało robić to, co robi moj oj-  
ciec. Niechaj przeklęty będzie ten dzień  
w którym się urodziło.

Oschły jej łzy, ponura boleść oży-  
wiła jej spojrzenie; płakałem z nią  
razem.

—»Jakżem się mylił! rzekłem: zda-  
wało mi się, że jesteś tak uległa twe-  
mu losowi. Nie sądziłem że jesteś nie-  
szczęśliwą. Biedna Julio! nic nie mo-  
że pocieszyć ciebie! nic, nawet mi-  
łość moja! Ach! lepiej od ciebie czy-  
tam w głębi twego serca, nie kochasz  
mnie?

Zwróciła na mnie spojrzenie pełne  
czułości i głębokiego smutku.

—»Nie kocham ciebie? rzekła; dał  
by Bóg żeby tak było. Nie porzucat-  
bys twojego położenia, a ja lepiejby

zastósowała się do mojego. Świat w którym zajmiesz twoje miejsce, jest na zawsze zamknięty dla mnie; widzę go z daleka, bez nadziei, że ci w nim towarzyszyć będę. Jakże są szczęśliwe te kobiety, które możesz jawnie powitać, które śmiają oprzeć się na twojem ramieniu, iść pod twoją opieką, okazać się z tobą razem przed oczyma wszystkich... Ach! o Boże, spraw abym prędko umarła.

—»Nie, rzekłem biorąc ją w moje objęcia: nie! żyć będziesz dla tego który odtąd nie chce znać innego życia, tylko z tobą razem. Uwolnię ciebie od tak okropnego losu! Kiedy? jakim sposobem? tego nie wiem jeszcze; lecz nie jest trudnem dla tego, kto tak kocha jak ja. Uciekniemy, uprowadzę cię; ukryjemy się w jakim odludnym kraju. Będziesz moją żoną.

—»Nie mów tego do mnie; zawołała blednąc; mogłabym spodziewać się, mogłabym pragnąć... Ach! niechaj mię



Bóg zachowa! Ja mam niszczyć twoje położenie? ja mam cię przywieść do opuszczenia twójgo kraju, twojej rodziny? A jeźlibyś kiedy żałował twojej ofiary? Nie, nie... pozostańmy czém jesteśmy. Do ciebie należy przyszłość i wszystkie koleje szczęścia. Do mnie, spoczynek w grobie.

Padłem przed nią na kolana; powiedziałem wszystko co tylko najgwałtowniejsza miłość może natchnąć żalów, skarg, wyrzutów; błagałem ją ażeby miała litość uademną i nad sobą, ażeby zezwoliła na moje postanowienia i zamiary. Odpowiedziała mi łzami tylko, zwracała oczy ku niebu, nie śmiejąc zwrócić je na mnie.

Były w powietrzu jakoby jakieś głosy łączące się ze łzami naszemi; wiatr głucho odbijał się w głębi doliny; niebo było posępne; czarne i groźne chmury zbliżały się ku nam; burza już miała wybuchnąć nad nami. Nagle wiatr ustał, huk przytłumiony odezwał

się w dalekości i skonał u podnóża tych wzgórzów, z kąd obejmowaliśmy wzrokiem, niezmierny widokrąg.

Wejdźmy; rzekłem do Julii roztargnionej na chwilę tém wielkiem i straszliwém widowiskiem; wejdźmy, zaczyna się okropna burza; deszcz tam pada na dole.

Przerwało mi straszliwe uderzenie gromu. Wzrok mój zaćmił się; czułem że Julia oparła się na mnie i natychmiast padając na kolana, puściła dziecię nieporuszone i pochylone na jej rękę. Mniemałem że piorun w nią uderzył, wyciągnąłem ręce, wołałem na nią rozpaczającym krzykiem. Po chwili odzyskałem wzrok. Piorun uderzył tuż przy nas w cyprys, którego wierzchołek utracił a pień zupełnie obdarł. Podniosłem Julię; konwulsyjnie przyciskała dziecię do łona; jej usta blade i drżące, nie mogły wydać żadnego dźwięku.

— »O Boże! rzekła nareście: śmierć dotknęła nas tak blisko! czemuż niezabrała razem?

Wściekła burza wrzała w około nas. Ogłuszony trzaskiem i hukiem gromów, uprowadziłem Julią do domu. Wszedłszy tam, uklękała jak gdyby do modlitwy; dziecię czepiało się jej, krzycząc z przestachu. Uściskała je z uniesieniem i ucałowała; a potem wyciągnąwszy do mnie rękę, rzekła z ciężkiem westchnieniem:

—»Bóg nie chciał zebrać nas z tego świata.

W tej chwili powrócił Coquelin. — Był blady, zadyszany, przemokły.

—»Mój ojcze! zawołała Julia; wróciłeś podczas tak okropnej burzy?

—»Moje dziecię, lękałem się o ciebie; mniemałem że sama jesteś, a przytém, taką czułem potrzebę zobaczenia ciebie i mojego Ludwiczka.

Przyciągnął je na kolana i uściskał, jak gdyby chciał spocząć pod osłoną tych dwóch niewinnych istot.

Zbliżyłem się, wyciągnąłem obie ręce moje, ku jego ręce, której nie śmiał

mi podać; podziękował mi uśmiechem, pełnym smutnej wdzięczności.

Pozostałem z niemi dłużej jak zwykle. Wypogodziło się; księżyc wszedł czysty i świetny; cisza wieczorna nastąpiła po dniu burzliwym. Coquelin odprowadził mię aż do miejsca gdzieśmy się zeszli przed dwoma miesiącami. Tam zatrzymał się i rzekł nagle:

—»Przykre mi jest dzisiejsze rozstanie, gdyż nie zobaczymy się jutro. Szczęśliwy byłem że nareście znalazł przyjaciela; lecz takie jest zgubne przeznaczenie moje, że to co stanowi szczęście i radość drugich, dla mnie zrządza rozpacz i zgubę... Lękam się o Julię.

—»Co! przerwałem gwałtownie: sądzisz że jestem zdolny dopuścić się nikczemnego uwiedzenia?

—»Niech mię Bóg strzeże abym cię posądzał o zły uczynek; lecz twoja ciągła bytność może mieć okropne skutki dla Julii. Nie wspominam o jej honorze, o naruszeniu jej reputacyi. Nieste-



ty! nie nie może zniestawić córki kata!  
Lecz gdyby cię kochała, straciłaby spokójność i tę trochę szczęścia, które jeszcze znaleźć może w nędzném życiu naszym. Widzisz więc, że nie możesz nas odwiedzać; powinienem był wcześniej to powiedzieć, lecz nie miałem siły. Ach! jakże mi jest przykro, że musimy zerwać nasze stosunki.

Spodziewałem się takiego oświadczenia i mocnom go się lękał. Trzeba było odpowiedzieć jak uczciwy człowiek, i nie wahałem się dłużej.

—»Już jest za późno, rzekłem: kocham Julię i ona kocha mię także. Nie wiem co z tego wyniknie, lecz silne powziąłem postanowienie, ażeby wszelkimi sposobami wyrwać ją z jej położenia. Postuchaj mię: jestem bogaty i młody; mam w sercu nie zachwianą wolę. Przysięgam ci na słowo honoru, że będę opiekunem twojej córki, że jej nigdy nie opuszczę. Jakikolwiek los znajdzie przy mnie, zawsze będzie

lepszy, niżeli ten, któryby miała przy tobie. Pomyśl nad tém; jutro chcę mieć stanowczą odpowiedź.

Odchodziłem. Coquelin zatrzymał mię: długo mówił ze mną; słowa jego pełne były rozsądku, szlachetności i mocy. Miał słuszność; byłem szaleńcem, chciałem uderzyć na oślepię zapory, o które muszę się rozbić; lecz ofiara której wymagał, przechodziła moje siły i wolę. Przeklinałem okrutną jego roztropność, prosiłem jak o łaskę, ażeby mi nie wzbraniał wstępu do swego domu, ażeby gwałtownie nie zrywał naszej zażyłości, ażeby mi zostawił czas do namysłu i postanowienia. —

Rozstaliśmy się bardzo smutni obydwa, lecz kontenci z siebie. Ja dałem dowody poświęcenia i szczerości; on okazał się sprawiedliwym, wyrozumiałym i stałym, jakim powinien być ojciec Julii.

Nazajutrz, o zwyczajnej porze wróciłem do grot; głowę miałem pełną zamiarów i gwałtownych postanowień; przejmowała mię odwaga i nadzieja. Doznałem okrutnego zawodu; dom był zamknięty: nie zastałem ani Julii, ani jej ojca; nie było nikogo.

Z razu uczułem głęboką urazę i gniew gwałtowny. Zdawało mi się, że Coquelin nadużywa swojej władzy ojcowskię; po tém przez chwilę miałem nadzieję, że nie dla tego uprowadził Julię, ażeby mi odjął wszelkie środki widzenia jej i że powróci. Usiadłem przed domem, czekałem aż do nocy: nikt nie przyszedł. Wróciłem do siebie, szalony, nieszczęśliwy. Przez ośm dni przychodziłem do grot co rano i wracałem wieczorem dopiero; spodziewałem się iż przynajmniej który z jego pacholców przyjdzie i że od niego otrzymam jakie objaśnienie. Nareszcie ósmego dnia postanowiłem wrócić do miasta, zapukać do drzwi tego zniestawionego do-

mu, w którego progi nikt dotąd nie wstąpił i zapytać się Coquelina co zrobił z córką.

Czekałem dopóki noc nie zapadnie, a koło dziesiątej wieczorem wszedłem do miasta. Udałem się wzdłuż wału: nikt nie przechodził ulicą zarostłą trawą. Murzy obszernego ogrodu ciągnęły się z jednej strony, z drugiej postrzegłem dom z krużgankiem o trzech oknach. Wiedziałem że to jest dom Coquelina. Biło mi serce, zatrzymałem się, świeciło się w jednem otwartem oknie: najgłębsze milczenie panowało wewnątrz domu.— Jak złoczyńca przesunąłem się wzdłuż muru i drżąc wszedłem na schodki.— Drzwi były zamknięte; lekko podniosłem żelazny młotek i zapukałem bojaźliwie i po cichu. Otworzył mi Tomasz, jeden z pachotków. Ach! mój Boże! rzekł osłupiały: to ty jesteś dobry panie?

—» Gdzież jest Coquelin? rzekłem zamykając drzwi; chce się z nim widzieć.



Służący odpowiedział mi jękiem, na które dreszcz mię przeniknął. Postawił lampę na stołku, a gdym chciał iść dalej, zastąpił mi, wyciągnąwszy ręce. Włosy powstały mi na głowie: złąkłem się sam nie wiem czego i zawołałem:

—»Gdzie jest Coquelin? chcę mówić z nim samym; gdzie on jest?

—»Jest tam na górze: odpowiedział Tomasz z łkaniem: tam na górze leży w trumnie. Możesz go jeszcze zobaczyć.

—»Umarł! zawołałem osłupiały.

—»Dziś rano, po ósmiodniowej chorobie.

Wstąpiłem do izby na pierwszym piętrze. Raz tylko rzuciłem okiem. Coquelin leżał na marach; drugi pacholek czuwał przy nim, czytając książkę do nabożeństwa. Zszedłem.

—»Gdzie jest Julia? zapytałem się Tomasza.

—»Jest tam na górze, zamknęła się w swojej izbie, z małym Ludwikiem. Ksiądz który przyszedł dziś rano, nie pozwolił ażeby siedziała przy biednym nieboszczyku. Przyjedzie jutro: jest to zacny, miłosierny człowiek.

—»W takim razie nie czekaj do południa. Jutro rano, biedna panienska wróci do grot, zaraz po pogrzebie. Jeśli pozwoli, zostanę u niej na służbie: nie chcę przystać do nowego kata, chociażby mi podwoił płacę.

Dałem czterdzieści franków Tomaszowi, polecając mu żeby miał staranie o swojej pani, i ani chwili nie zatrzymując się w mieście, wróciłem do mego wiejskiego domku.

Julia zastała mię w grotach; byłem tam już od godziny. Trzeba było postawić się w jej położeniu, ażeby ocenić jak ciężkiej doznawała boleści. Straciła jedyne go towarzysza w swoim smutnym życiu, tego który od urodzenia nie odłączył się od niej, któremu

od dawna poświęcała wszystkie swoje uczucia. Nie usiłowałem pocieszać ją; czekałem ażeby czas uspokoił jej ciężką boleść.

Całe dni przepędzałem przy niej; zerwałem wszystkie stosunki ze światem, nie przyjmowałem niczyich odwiedzin, a na listy mojej rodziny odpowiadałem kilkoma tylko nic nie znaczącymi słowami. Pragnąłem ażeby o mnie cały świat zapomniał. Lecz zbliżał się czas wakacyi, ojciec spodziewał się mego przybycia; napisałem do niego; przytoczyłem sam nie wiem jakie powody, oświadczając, że chcę pozostać na wsi.

Czyliż mogła oprzeć się Julia takiemu poświęcenia i słabości własnego serca? Jakaż to nadludzka cnota, oparłaby się potężnym wpływom miłości i zupełnego odosobnienia? Nareszcie była moja! W ówczas dopiero poznałem jej duszę; byłem wszechwładnym panem jej radości, jej smutku. Kto raz

był tak kochanym, temu wszelka inna miłość jest nic nie znaczącą i płochą. Oddałem się temu szczęściu tak wielkiemu, tak pełnemu, z tém zaufaniem jak gdyby nic w świecie wydrzcć mi go nie mogło. Moje zaufanie przestraszało Julię, a gdym polegał na obecności, ona ze łzami przeglądała przyszłość i częstokroć mówiła do mnie :

—»Przyjacielu! obym wcześniej umrzeć mogła i nie doczekała się końca mojego szczęścia.

Niestety! gniewałem się na nią za te przecucia, a w ówczas prosiła mię o przebaczenie. Usiłowała mniemać iż nasze pożycie ciągle trwać będzie, lecz ileż to razy, gdy oparta na mojem ramieniu, mówiła do mnie: »Ach! niczego się nie lękam; wiem iż nigdy mię nie opuścisz « podniosłem bladą jej twarz, cichemi łzami zalaną. Zdarzenie które prędzej mogłem być przewidzieć niżeli ona, przerwało moją spokojność.



Pewnego wieczora, wracając z grot, zastałem mojego ojca. Czekał na mnie od rana; nikt go nie mógł objaśnić w którą stronę poszedłem. Stałem oślupiały jego widokiem i pierwsze moje uczucie, było uczuciem przestachu.

—»I cóż? rzekł tonem na pół wesołym, na pół obrażonym: muszę więc sam przyjeżdżać po ciebie, niedobry chłopcze! Lecz cóż to jest za dziwactwo, zagrzebywać się na wsi i żyć jak niedźwiedź? Z twoich ostatnich listów wniosłem że jesteś chory; lecz jak widzę, dobrze wyglądasz. No mości panie, uściskajże mnie.

Mój ojciec był zacnym człowiekiem. Miałem w nim wyrozumiałego przyjaciela, spodziewał się że położę w nim zupełne zaufanie; gdyż nie będąc jeszcze starym, wyrozumiałym był na płochość młodego wieku i wymówki jego nie nosiły cechy nakazu i cierpkości. Niepodległe moje położenie pod względem majątku, nie uwolniło mię z

pod jego władzy; może mimo wiedzy mojej, rządził mną swoim wpływem; nie narzucał mi woli własnej, lecz zupełnie stosowałem się do niej. A jednakże różniliśmy się uczuciami i charakterem; poważniej zapatrywałem się na życie, powziąłem od matki duszę nakazującą, uporczywie trwałem w moich uczuciach: on zaś przeciwnie, był pełen umiarkowania, czuł życzliwość lub niechęć, lecz nie więcej, a miłość albo nienawiść nigdy nie miotała jego sercem. I z tej to przyczyny nie rozumiał mocy namiętności i nie lękał się aby zgubny wpływ na mnie wywarły.

—»Cóż ci to jest? zawołał, widząc moje pomieszanie: cóż się stało? Zda się iż cię miesza moja obecność.

—»Ach, mój ojcze! czy to być może?

—»O tak! sądzę, iż ci jest miło zobaczyć mię po ośmiu miesiącach oddalenia; lecz są okoliczności, stosunki....

Zadrżałem, zdało mi się że jakiś traf nieszczęsny uwiadomił go o wszystkiem.

—»Tak jest: mówił dalej; jest kto zakochanym i zdradzonym; to się zdarza codziennie; z gniewem zakopujemy się na wsi, wyrzekamy się całego świata, ponieważ zażartowała z nas jedna zalotna dziewczyna. Ale widzisz mój przyjacielu, zmartwienia takie bardzo prędko przechodzą i mogłeś prócz tego pocieszyć się gdzie indziej nie w tej pustyni.

Zrozumiałem o czém mówi. Mój ojciec dowiadywał się w Aix, a plotki małego miasteczka doniosły mu o pewnej awanturce zdarzonej od kilku miesięcy; znaczna część tych wieści była płonna, lecz nie usiłowałem wyprowadzać go z błędu.

—»To wszystko nie warte nawet piętnastu dni smutku, odpowiedział mój ojciec, a ty dąszasz się od czterech miesięcy. No i czémże cię rozerwać można. Przedewszystkiém nie pozostaniamy tu; zabieram cię z sobą. Pojedzie-

my dokąd ci się podoba. Zechceszli przepędzić wakacye w Paryżu?

— »Dziękuję ci mój ojcze, stokrotnie dziękuję; to za daleka podróż, później ją odbędziemy: rzekłem przestraszony.

— »A więc, pojedziemy do Marsylii, tam zabawisz się bardzo przyjemnie; zobaczysz świat, będziemy bywać w towarzystwach. A przy tém już się z tobą nie rozstanę; na przyszłą zimę osiedę w Aix, i mieszkać tam będę przez cały ciąg kursów akademickich. Niewiadomo czyli pozostaniemy w Prowancyi, mam pewne zamiary. Cóż to, przeraża cię ta wiadomość? Ej że, mój przyjacielu powiedz mi co ci jest?

— »Nic, mój ojcze, nic, wdzięczny ci jestem za twoją dobroć.

— »Żeś wdzięczny to bardzo dobrze; lecz chciałbym także ażebyś miał we mnie zaufanie, jak w dobrym towarzyszku twoim. Wiem że młodzież zwykle oszukuje ojców po trochu; lecz ja przecieź... No, nabierz odwagi; czyli-



żeś dopuścił się wielkiego głupstwa? Przyznaj się, a pomyślimy jakimby sposobem można je wynadgrodzić. Jeżeli idzie naprzykład o długi, dam ci kilka tysięcy franków.

—»Ach, ojcie! wiesz że mój dochód wystarcza aż nadto na wszystkie moje potrzeby, nawet na zbytki; a że nie jestem rozpustnikiem i graczem, mam pieniądze w zapasie.

—»A więc, wracam się do mojej pierwszej myśli. Zakochałeś się w kobiecie, która w rzeczy samej nie jest tego warta, ażebyś dla niej zrobił się pustelnikiem i tak długo płakał jej niewiary.

Nic nie odpowiedziałem.

—»Wszystko to fraszka, rzekł mój ojciec; pojedziemy do Marsylii. Chceszli mi dać wieszczę Leonie? Czy wiesz że przez cały dzień szukał ciebie w okolicy. Wieśniacy wskazali mi drogę którą poszedłeś: ścieżka bardzo ustronna zaprowadziła mię pomiędzy okropne skały. Myślałem iż musi dokądsiś

dochodzić i szedłem ciągle, gdy wtem biedna kobieta pasąca trzodę zatrzymała mię przy wnijsciu w dolinę. —»Mój panie, rzekła do mnie; dokądże idziesz? —»Usiądę tam pod cieniem, odpowiedziałem przyśpieszając kroku, gdyż mi słońce dokuczało niezmiernie. Pobiegła za mną, wołając: Zatrzymaj się pan, zatrzymaj, to jest dom kata!

—»A ja chciałem tam spocząć! Dałibóg, byłbym wstąpił do domu i prosił o szklankę wody. Smutne masz sąsiedztwo mój kochany Leonie.

Czułem iż rumienię się i płonę na te wyrazy tak proste i tak okrutne. Ojciec nie postrzegł moich udręczeń, ani mógł nawet przypuścić jakiegokolwiek stosunku, między mojem położeniem a tém co mi powiedział. Wieczorzaliśmy razem; nie sprzeciwiałem się gdy urządzał nasz wyjazd do Marsylii; nie rzekłem ani słowa. Pod żadnym pozorem, dla żadnego powodu, złego lub dobrego, nie mogłem go uni-

knąć. Gdyby mój ojciec rozkazywał mi bylbym się oparł; lecz miał taki sposób skłonienia mię do woli swojej, iż nie mogłem uchronić się od niej. Już było blisko północy, gdym go zaprowadził do sypialnego pokoju; uściskał mię życząc dobrej nocy i rozgarniając mi włosy, jak to czynił wtedy gdym był dziecięciem i przydał:

—»Nieprawdaż Leoncyuszu, iż cieszysz się z mego przybycia?

Łzy stanęły mi w oczach, ze wstydu, zgryzoty i boleści, w owej chwili uczułem żem wiele przewinił względem mego ojca którego m zdradzał i względem Julii którą mam opuścić. W godzinę potem byłem w jej domu.

Była to jedna z tych nocy wrześnieowych, pogodnych i jasnymi powleczoonych obłokami, pod któremi wschodzi księżyc; żaden szmer nie rozlegał się w uspionej okolicy, moje tylko kroki brzmiały wzdłuż długiej ścieżki do grot wiodącej. Przychodząc przed próg

tego domu, którego przed kilkoma godzinami z takim bezpieczeństwem opuściłem, jak gdybym go przez całe życie moje miał odwiedzać, uczułem tak ciężką bolesć, tak głęboką litość nad losem Julii, iż zabrakło mi odwagi, oznajmienia jej o naszym nieszczęściu. Wstydzilem się prócz tego, że tak prędko zmieniam postanowienie tylekroć oznajmione; ja, pełen takiej odwagi i mocnej woli, ja nieustraszony żadną ofiarą, gotów jestem walczyć z moją postawą w towarzystwie, ze światem, gotów wszystkiego wyrzec się dla Julii, usłuchałem prostego życzenia mego ojca, uległem bez walki jego wpływowi i sile okoliczności. Przyznaję, że w owej chwili nie tyle byłem godzien politowania, ile Julia. Jej to nieszczęście mnie gnębiło.

Wszystkie okna były zamknięte prócz jednego od biblioteki, za którym postrzegłem słabe światło. Zbliżyłem się i zajrzałem przez szparę między okiennicami. Julia czuwała jeszcze, sie-



dząc w krześle z poręczami, w którym tylokrotnie spoczywałem. Światło lampy padało na jej twarz pochyloną nad zielnikiem, którego karty układała machinalnie. Po chwili wstała, a odgarniając długie włosy, przeciągnęła ręce po czole i rzekła głosem żałośnym:

— »Mój Boże! już oddawna nie mogę zasnąć.

Lekko odchyliłem okiennicę. Julia wydała słaby krzyk.

— »To ja, rzekłem wchodząc; nie lękaj się.

— »Ach, mój Boże! przerwała mi; cóż się więc stało? Dla czegoś przychodzisz do mnie wśród nocy? Czy już nie przyjdiesz jutro.

Skinieniem głowy dałem poznać że tak jest. Cofnęła się blada i z wrytém spojrzeniem.

— »Ach! zawołała, czyliż nadszedł dzień rozłączenia naszego?

W ówczas opowiedziałem jej przybycie mego ojca i wszystko co powiedział;

słuchała mię trzymając moje ręce w swoich, z wrytymi oczyma. Gdy skończył, rzekła z stałością:

—»Leonie, masz dobrego ojca; nie zasmucaj go nigdy, jedź z nim, ponieważ chce tego. Wiedziałam jak się to wszystko skończy; byłam gotowa... lecz niestety! tak prędko; o Boże!

Przecięgnęła rękę po oczach i mówiła dalej, powściągając się:

—»Opowiedz mi zamiary twego ojca; chcę wiedzieć co będziesz czynił i dokąd się udasz po rozstaniu naszym.

Szczegółowo opowiedziałem jej, jakie życie prowadzić będę, rozłączony od niej; chciałem przynajmniej ażeby myślą mogła mię ścigać pośród tego świata, który tak był obcym dla niej. Słuchała mię z smutną i zazdrośną uwagą, lecz bez wybuchu boleści. Nie spodziewałem się, iż taką mieć będzie rezygnacją, i, takie to jest samolubstwo miłości, przykrość mi to zrządziło. Z mniejszym żalem byłbym oddalił się od niej, gdyby więcej cierpiała.

Godziny szybko upłynęły; światło już gasło. Otworzyłem okno. Julia wstała ze drżeniem. Jasność bielejąca na widokregu, prosto padała na jej twarz i otoczyła ją bladym kołem promiennym.

—»Dzień! zawołała, już dzień!

Razem wyszliśmy z domu: ona opierała się na mnie, ja szedłem drżącym krokiem. Przy wyjściu z doliny, z oczyma pełnymi łez, których nie usiłowałem powściągnąć, wziąłem ją w moje objęcia, mówiąc:

—»Zegnam cię! powrócę Julio; powrócę, wiesz dobrze o tem.

Wstrząsnęła głową wskazując mi drogę. Spojrzałem w jej twarz; nie płakała.

—»Zegnam cię, zawołałem oddalając się; zegnam cię Julio!

Gdym zszedł na dół, spojrzałem za sobą między skały. Julia już znikła.

—»Ach! zawołałem z pewnym rodzajem wściekłości, sądziłem iż mię bardziej kocha.

W dwie godziny potem, wszedł mój ojciec do mego pokoju.

—»Co! zawołał, wstałeś? Lecz jakże jesteś smutny i mizerny Leonie? Jeżeliś chory, odwlecjemy nasz odjazd.

—»Nie, mój ojczy, nie, dziś, dziś rano jeśli zechcesz; czém prędzej chcę odjechać: odpowiedziałem nagłe wzięwszy postanowienie.

Za przybyciem do Marsylii, mój ojciec nie dał mi czasu nawet rozpatrzeć się w około siebie. Tyle musiałem oddać odwiedzin, tyle miałem roztrągnięć, iż z razu ogłuszyły mię, lecz wkrótce uczułem niejakiś znużenie, a udając że chcę się bawić, trawiony byłem skrycie smutkiem i nudami.— Wspomnienie Julii boleśnie mię rozrzewniało i drażniło; gniewałem się na sposób w jaki się ze mną rozstała, że tak prędko zezwoliła na nasze rozłączenie; chciałem ażeby mógł żyć szczęśliwy zdala od niej, ponieważ ona była spokojna i pocieszona zdala



odemnie. Tak to usiłowałem skruszyć w głębi mego serca, bożyszcze którem tyle uwielbiał i chciałem do drozbiązgowego rozmiaru pospolitej miłości przywieść namiętność, od której przed chwilą zależało moje szczęście i przyszłość.

Mieszkaliśmy w pięknym hotelu i zapoznałem się z rodziną angielską która w tymże czasie co i my przyjechała. Byli to ludzie bogaci i bywający w towarzystwach. Corocznie odwiedzali Marsylią wracając z podróży do Szwajcaryi lub do gór Pirenejskich.— Dwadzieścia lat pobytu na stałym lądzie uczyniły Francuzem Williama Neal, i nic nie zachował angielskiego prócz wymawiania. Jego siostra miss Anna Neal, była jedną z tych starych odważnych dziewcząt, które stanowczo pogodziły się ze swojemi czterdziestu laty i gotowe są objechać całą Europę pod potrójną strażą swoich siwych włosów, okularów i plega szkockiego. Co wie-

11\*

czór bywaliśmy u niej na herabacie; herabata przyrządzana ręką Angielki w epoce cesarstwa, była to osobliwość.

Pewnego dnia, William Neal rzekł do mnie bez żadnego wstępu:

—»Mój przyjacielu, jestem bardzo zakochany.

—»Zakochany! co ty! a to jak się stało?

—»Patrząc od rana do wieczora na ładną kobietę, która nawet nie domyśla się mojej miłości.

—»Lecz gdzież ją postrzegłeś?

—»Na małym tarasie hotelu, przez okienko mego gabinetu.

Zacząłem śmiać się, gdyż natychmiast wyobraziłem sobie jak William Neal stoi na stole z wyciągniętą szyją i usiłując przyczepić się do krat okienka, wywyższonego o dziesięć stóp nad ziemię.

—»Jest to bardzo słuszna kobieta: mówił dalej nie zmieszany moim śmiechem; jest wdową i nazywa się pani

Oliwier. Wypytywałem się o nią. Powiedziano mi że nie przyjmuje nikogo że nie zna żywej duszy. Musi nudzić się bardzo, a to czyni mi wielką nadzieję. Chociażby tylko dla przepędzenia czasu, nie odmówi zaprosin siostry mojej, będzie u nas na wieczorze. Dosyć zręcznie postąpiłem sobie, żem skłonił siostrę ażeby zaprosiła na wieczór tańczący, wszystkich swoich znajomych bliskich czy dalekich. Cudzoziemców zamieszkałych w hotelu, zaproszono w massie i panią Oliwier już otrzymała bilet zapraszający. Nie było innego sposobu. Jak się zdaje, wszak to niezły pomysł?

—»Byleby tylko przyszła.

—»Przyjdzie niezawodnie; moja siostra odwiedzi ją wprzód.

—»A ty będziesz jej towarzyszył?

—»Nie, do licha, nie! Nie trzeba tak się śpieszyć. Pani Oliwier mogłaby się domyśleć. Jest to dama bardzo

w dobrym tonie i poczytałaby za złe że daję wieczór na jej uczczenie.

—»Jest to jednakże delikatna grzeczność, a kobiety lubią takie romansowe postępowanie. Dobrego powodzenia, kochany Williamie.

Gdym już raz przyjął rolę powiernika, musiałem znosić wszelkie jej ciężary. William Neal trzymał mię nieraz przez dwie godziny w ogrodzie, tą jedynie nadzieją powodowany, iż ujrzy damę swoich myśli, w oknie które się nigdy nie otwierało. Ze dwadzieścia razy wstępowaliśmy na schody, gdzie jej się dwa razy ukłonił; lecz ona z taką usilnością ukrywała się, z jaką my postrzedz ją chcieli. Piętnaście dni upłynęło, a jeszcze jej nie postrzegłem: William Neal daremnie drapał się do okienka, taras był pusty, okna zamknięte. Jednakże pewna uwaga moja, ożywiła nadzieję Williama. Ilekroć chodziliśmy po ogrodzie, żaluzye balkonu ciągle były spuszczone; lecz czę-



stokroć zdawało mi się, że jakiś cień przesuwiał się za nimi, i że wysunięta ręka nadawała im lekkie kołysanie.

W wigilią balu William stroskany powiedział mi że jego siostra oznajmiła swe odwiedziny pani Oliwier, lecz jój garderobiana oświadczyła z tysiącem przeprosin, iż pani jest chora i nikogo przyjąć nie może. Wszystko to było tylko pozorem i gniewałem się jak gdyby ten zawód mnie osobiście dotknął.

—» Szalonym jesteś, rzekłem do Williama; proszę, na co ci się przydadzą takie zabiegi koło kobiety która może ich się nawet nie domyśla? Jest to śmieszny upor; trzeba zaniechać tej niewidzialnej pani Oliwier. Wyobraź sobie że pojechała, że jój nigdy nie zobaczysz i zapomnij o niej.

—» Sądzę iż to będzie najlepiej, odpowiedział sir William smutnym tonem

Wieczorem przy herbacie, rzekła jego siostra: —» Lękam się iż może po

Jutrze nie będzie u nas pani Olivier; jest to oryginalna osoba; siedzi przez cały dzień za żaluzją, patrząc się na wchodzących i wychodzących z hotelu; jest to jedyna jej zabawa, jedyna rozrywka; w nocy czuwa, i nieraz postrzeżono iż chodzi po ogrodzie przez całą noc aż do świtu. Podobna jest do nocnych ptaków, nigdy nie widzi słońca.

— »Widziałem ją wczoraj, rzekł mój ojciec; zadzwoniłem bardzo wczesnie ażeby służący otworzył okna w moim pokoju; a gdy nikt nie przychodził, sam wstałem. W ówczas postrzegłem kobietę piękną i młodą. Wstała natychmiast i powoli poszła do drzwi; była sama.

— »To jest nie wiedzieć do czego podobne: rzekł William zamyślony.

— »To coś wygląda na obłąkanie, rzekłem z pogardą.

Rozstaliśmy się bardzo późno; wracając do siebie, wstąpiłem do izby Wil-

liama po książki, a gdym przeglądał pułki jego biblioteki, on poszedł do gabinetu.

—»Pójdź, zawołał z lekka, ona tam jest.

Wahałem się, gdyż mi się zdawało że obydwaj jesteście bardzo śmieszni, lecz zdjęty ciekawością wdrapałem się z nie-małym trudem aż do okienka i spojrze-łem na dół. Taras należący do oddziel-nego domku, ciągnął się ku wewnętrznemu dziedzińcowi; kobieta klęczała przy balustradzie; przy świetle księży-ca widzieliśmy jej twarz i białe ręce; długie jej włosy pływały rozpuszczo-neskutkiem wilgoci nocnej. Przez chwi-łę patrzyłem na nią osłupiałym wzro-kiem, przetarłem oczy, rozumiejąc iż to jest złudzenie lub osobliwsze podo-bieństwo; lecz gdy wstała, gdym ją widział idącą, już nie wątpiłem... ta kobieta była to Julia!

—»I cóż? rzekł William; a teraz gdyś ją zobaczył, powieszli że jestem

szaleńcem, jeżeli ci wyznam iż tylko od niej samój zależeć będzie, zostać ledy Neal.

— »Ach! zawołałem, śmiałybyś...

— »Dla czegoż nie? odpowiedział zdziwiony, ponieważ jest wdową, a ja jestem zakochany.

Nazajutrz zostałem się w domu pod pewnym pozorem, a gdy William i mój ojciec wyszli razem, posłałem jednego z moich ludzi do pani Oliwier, z zapieczętowanym biletem obejmującym samo tylko moje nazwisko Leon Debray.

Za chwilę poszedłem.

Julia czekała na mnie, stojąc jeszcze z moim biletem w ręku. Była blada i drżąca, a gdym się zbliżył do niej, odwróciła oczy i oparła się o poręcz krzesła. Rozjątrzony takim przyjęciem, dręczony nie wiedzieć jakim powątpiewaniem, rzekłem do niej oziębło: Co za nierostropność!



Na te srogie wyrazy, smutna ofiara pochyliła głowę i odpowiedziała gasnącym głosem:

— »To prawda, lecz nie mogłam oprzeć się tej żądzy, ażeby udać się za tobą. Chciałam zostawać ukryta przy tobie... spodziewałam się iż się o tém nie dowiesz... Niech mię Bóg zachowa, od zakłócania twojej spokojności. Teraz oddalę się i nikt w świecie nie będzie wiedzieć kto jestem i co się stało ze mną.

Ożywiły się nagle moje uczucia od dwóch miesięcy przytłumione; ta rezygnacya, te łzy, dotknęły mię do żywego; raz jeszcze uczułem że jestem kochanym; doznałem bolesnej zgryzoty, że skrzywdziłem mojem niesprawiedliwem podejrzeniem, tę istotę tak uległą i poświęcającą się, która mię tylko jednego kochała. Jak wprzód padłem na kolana przed Julią, przysięgłem jej że dla niej tylko chcę żyć, przysięgłem iż żadna potęga ludzka rozłączyć nas

nie zdoła. Słuchała mię z posępném rozrzewnieniem; jęj łzy padały na nasze złączone ręce; osobliwsze uniesienie ożywiało jęj błękitne oczy tak spokojne zwykle; milczała gwałtowném wzruszeniem przejęta i odpowiadała milczącym tylko spojrzeniem. Nareszcie rzekła do mnie słabym lecz przenikającym głosem:

—»Kochasz mię zawsze.... znalazłam cię, chociażby na jeden dzień, na jedną godzinę... Już się nie spodziewałam takiego szczęścia. Leonie, przysłałam aż na próg tego świata, gdzie mi niewolno pójśdź z tobą... brama jego otworzyła się dla mnie.

Podawała mi list panny Neal.

—»Postuchaj mię, rzekła dalej po chwili milczenia; jeżeli zezwolisz, przyjąłabym to zaproszenie; przez jeden wieczór, przez cały wieczór siedziałabym przy tobie; chodziłabym oparta na twojem ramieniu, szczęśliwa i dumna z twojej opieki. To szczęście tak upra-

gnione, nie jest niepodobieństwem; to marzenie może się ziścić. Nie bój się Leonie, nie nas nie wyda. Któżby mię tu poznał? Okropne piętno odrzucenia i ochydy nie jest nacechowane na mojem czole... Niechaj raz, raz tylko jeden, wolno mi będzie towarzyszyć ci w tym świecie, w którym cię zostawię... Powiedz, czy zezwalasz?

—»Tak jest, odpowiedziałem przestraszony, tak jest; lecz potem... jak okropna obawa! Czy sądzisz że będziesz mogła pozostać nieznaną temu światu któremu raz się pokażesz? Ścigać cię będzie jego uwaga, zechce wiedzieć kto jesteś. Któż wie, może wówczas wprost zasięgną wiadomości, a cóż odpowiesz tym, którzy ci zadadzą to straszliwe pytanie?

Uśmiechnęła się z niepojętym wyrazem twarzy i odpowiedziała spokojnie:

—»Zdaj się na mnie; wiem jakim sposobem uniknę ich ciekawości.

— »Niestety! wówczas dopiero będę spokojny, gdy powrócimy do grot. Chceszli tam powrócić Julio?

Ścisnęła moje ręce i odpowiedziała:  
— »Tak jest; wkrótce.

Rozstałem się z nią. Co chwila mój ojciec mógł powrócić a nikt nie powinien był wiedzieć o tych odwiedzinach. Przez resztę dnia nazajutrz, na krok nie odstąpił mię William Neal; nareszcie nadeszła godzina balu.

Panna Neal chciała świetnie rozpocząć zabawy zimowe; o niczem przeto nie przepomniała, żeby ta pierwsza uroczystość była wesoła i świetna. Wielka sala hotelu ubrana strojnie, z mnóstwem światła, kwiatów i woni, tworzyła zachwycający widok. O dziesiątej już się zebrało trzysta osób. Ja i William staliśmy blisko drzwi; on oddychać nie mógł miotany niecierpliwością i przekorą.

Gdy jedenasta wybiła, rzekł do mnie:



—»Stało się; nie przyjdzie. Pójdźmy grać, może to nas rozerwie. Oddałbym wszystko co tylko posiadam, żeby ta noc już się skończyła.

Mniemałem że w ostatniej chwili zabrakło odwagi Julii i niepojętym dziwactwem powodowany miałem jej za złe że nie chciała wypełnić tego postanowienia, które z razu tak mię przestraszyło. Zacząłem grać; za kwadrans przyszedł do mnie William Neal, uradowany i rzekł po cichu:

—»Przyszła!

Wróciwszy do sali balowej ujrzałem Julię siedzącą przy paninie Neal. Bałem się czy nie będzie pomieszana, nieśmiała; uspokoił mię pierwszy rzut oka; była spokojną, uśmiechającą się, panią samej siebie; zdawało się że całe życie przepędziła pośród tego świata do którego pierwszy raz wstępuje. Zbladła jednakże gdy mię ujrzała; lecz natychmiast ochłonawszy z pomieszania, odwróciła się dla przywitania mego oj-

ca, którego przedstawił jej sir William. Wszystkich spojrzenia były na nią zwrócone; jakże była piękna, pośród tych kobiet tak pięknych i strojnych! Przejrzyste fałdy muslinowej sukni otaczały ją jak obłok z pod którego jaśniała białość jej ramion skromnie osłoniionych. Jej twarz miała boski wyraz smętnej pogody, lecz z głębi jej błękitnych źrenic przebijała się gorąca błyskawica, wyraz jej duszy.

Obecność kobiety tak młodej, tak pięknej i nikomu nieznannej, mocne uczyniła wrażenie; otoczyło ją mnóstwo tancerzy; uniknęła ich zaproszenia, oświadczając iż wcale nie tańczy. William Neal na krok jej nie odstępował i zdawało się iż się chlubi z tego, że jest jedynym człowiekiem z którym rozmawiała, jedynym którego cokolwiek znała w tak liczнім towarzystwie. Jako gospodarz domu, musiał także być grzecznym i dla innych dam; skinął na mnie ażebym zastąpił jego miejsce.

—»Pani, rzekł, to jest mój przyjaciel pan Leon Debray, równie jest wdzięczny za ten zaszczyt któryś nam wyświadczyła bytnością twoją na tym wieczorze.

Julia odpowiedziała tylko skinieniem głowy. Usiadłem przy niej. Zdawało mi się że oboje zostajemy pod wpływem marzenia. Przestraszało mię to dziwne położenie nasze; byłbym oddalił się, gdyby mię nie zatrzymała błagającym spojrzeniem.

—»Jeszcze dwie godziny! rzekła Julia wskazując na zegar: była godzina dwunasta. Po chwili milczenia przydała: Leonie, chceszli przejść się ze mną po salach?

Co za noc! co za jedyna chwila w życiu tej biednej pogardzonej istoty! Świat otaczał ją uwielbieniem i hołdami; szła w równi z temi kobietami którym tylekroć zazdrościła ich wolnego i szanowanego stanu; była królową tego balu gdzie wszyscy składali hołd

j jej piękności. Lecz mnie tylko samego widziała posród całego tłumu; zwracała w koło spojrzenie pomieszane i niepewne, czułem gwałtowne bicie jej serca. William Neal zbliżył się do nas; niespokojnie zwracał uwagę na Julię, obarczał ją pytaniami. Korzystając z chwili gdy wydawał rozkazy, rzekłem do niej po cichu:

—»Wróć do siebie, błagam cię; wzruszenia tego wieczora obarczają mnie i ciebie. Ledwie że nie tracę przytomności .. Zlituj się nademną i nad sobą; nie zostawaj dłużej w tak niebezpiecznym położeniu.

Zbliżyła się do okna i wzniosła oczy ku niebu, wzdychając głęboko.

—»Niestety! rzekła, jak ta noc jesienna jest mglista i ponura; nadchodzi zima, wkrótce nie będzie w grotach ani kwiatów, ani cienia... nic wcale!...

Zamilkła nagle, a pochylając się ku ręce mojej, którą trzymała oparta na



ramie okna, dotknęła ją usty swemi, mówiąc: —»Zegnam cię Leonie!

Giest ten był tak szybki jak myśl sama. Julia wahała się, a zapuszczając wzrok w te świetne salony, po których krążyły wesołe grona, milczącym spojrzeniem żegnała się ze światem; oparłszy się na mojem ramieniu, rzekła: —»Pójdźmy!

Odprowadziłem ją aż na dół schodów; poszła do swego pokoju, żegnając mię skinieniem ręki. Wtedy odechnąłem swobodnie. Zdawało mi się że oboje ocaleni jesteśmy. Bal trwał aż do dnia; wyszedłem jeden z ostatnich. Wracając, postrzegłem że Julia jeszcze nie śpi: światło widać było za żaluzjami.

Spałem do południa; żelazny sen ciężył na moich oczach; walczyłem z jakięmsiś przerażającym marzeniem. — Wtem rozszerzyły się firanki od łóżka, zerwałem się nagle i ujrzałem sir Williama Neal z bladą i przerażoną twarzą

— »Cóż się stało? rzekłem.

— »Nic wielkiego, nic wcale, dziwactwo kobiece; rzekł usiłując przybrać spokojną i pogardliwą minę. Pani Olivier wyjechała dziś rano. Już nie powróci. . Wczoraj umyśliła odjechać, gdyż odprawiła młodą dziewczynę która jej usługiwała od czasu przybycia do Marsylii. Wyszedłszy z balu, zapakowała rzeczy; o szóstej wsiała do powozu. Ale czémże jest ta kobieta? Nikt nie wie zkad przyjechała, dokad odjechała. Muszę dowiedzieć się o tém, muszę. Znajdę ją, chociażbym całą Europę objechał.

Gdy to mówił wzruszonym głosem, wziąłem ze drżeniem bilet, przyniesiony razem z gazetami. William nagle przerwał mowę i usiadł w niejakięj odległości.

— »Czytajże! rzekł z ciężkiem westchnieniem: zdaje się że jesteś szczęśliwszym odemnie w twoich miłostkach.

Bilet obejmował te tylko wyrazy: »Na klęczkach biedna Julia przesyła ci

ostatnie pożegnanie. Bądź szczęśliwym Leonie!... Nie zapominaj o mnie. Tu na ziemi już się nie zobaczymy. . lecz tam w niebie... Ufam w sprawiedliwość Boga.«

—»I cóż! rzekł William Neal; cóż to jest? zbladłeś.

— »Mówiłeś mi o Pani Olivier, przerwałem gniotąc bilet. — Trzeba było przynajmniej dowiedzieć się dokąd pojechała; może za granicę?

—»Nie! odpowiedział zdziwiony tém zajęciem, które okazywałem dla jego miłostek, wzięła pocztę do Aix. Czekam na postyliona; powiedz mi gdzie wysiadła.

Na te słowa, odetchnąłem. Lękałem się czy Julia nie opuściła Francyi. Posiadała znaczną summę; żadna materialna przeszkoda nie wstrzymywała jęj; mogła pojechać w obce kraje, ukryć się w jakim wielkiem mieście, i byłbym nie wynalazł jęj śladu. Lecz jużem się nie lękał skoro tylko by-

Łem pewny że ją znajdę w grotach; zdawało mi się że nie braknie sposobów zapewnienia i utrwalenia naszego szczęścia. Trzeba pojechać do Paryża i tam zaprowadzić Julia. W tém niezmierném mieście łatwo będzie nadać Julii takie imię i stan, jakiego wymagają stosunki towarzyskie. Mój ojciec chętnie osiedzie w Paryżu razem ze mną. Te myśli ożywiły moją nadzieję przeczuwałem szczęśliwą przyszłość; dziwiłem się, że tak długo wahał się użyć tego środka. Oznajmiłem że dziś jeszcze wyjeżdżam do Aix, w niespodzianym interesie. Mój ojciec nigdy nie wypytywał się, ilekroć postrzegł że zachodzi jakaś tajemnica, i rzekł po prostu:

—»Jedź jutro, jeśli zechcesz; przyjadę do ciebie za pare dni: wakacje już się skończą.

—»A gdybyśmy pojechali do Paryża, dla skończenia kursów, zapytałem się po prostu.



—»Niech i tak będzie, jeżeli tego sobie życzysz. Pogadamy o tém w Aix.

Ledwie mogłem pozbyć się Williama Neal; chciał koniecznie jechać ze mną. Naresćcie został, czekając na'powrót postyliona, z którym pojechała pani Olivier.

Nazajutrz o świcie wsiałem na konia i koło południa byłem u grot.

Nigdy jeszcze nie czułem większej nadziei i szczęścia; stroskaną istotę miałem przywrócić do życia, do miłości. Po okropnej rozpaczycy nastąpi radość i przecucie lepszej przyszłości; powiem Julii: „Chciałaś mi wrócić moją niepodległość i bezpieczeństwo; oddaliłaś się odemnie ażeby nie bydź przeszkodą w mojem życiu; poświęciłaś się na wieczny smutek i samotność, ażebym był szczęśliwym i wolnym; nie przyjmuję tak smutnej ofiary.

I wyobrażałem sobie jej miłą twarz zwróconą ku mnie ze łzami i z błagającym wyrazem: spodziewałem się bo-

wiem wspaniałomyślnego oporu; lecz pewny byłem że pojedzie ze mną, skoro już raz śmiała pójść tam gdzie się znajdował.

Z mocnym wzruszeniem ujrzałem te miejsca gdzie niedawno byłem szczęśliwy. Zwykła cisza i samotność panowała w dolinie; żółtkły i opadły liście z drzew i krzewów.

Przypomniałem sobie te ostatnie wyrazy Julii przy pożegnaniu: Wkrótce nie będzie u grot ani kwiatów ani liści, nic wcale.

—»Ani kwiatów ani liści!... powtórzyłem w myśli. To prawda... Jakaż żałoba! Przyspieszyłem kroku; serce biło mi gwałtownie, tży miałem w oczach. Zbliżając się do domu, postrzegłem z niewymownym podziwieniem jakąś obcą osobę; była to uboga kobieta, którą nieraz spotykałem w okolicy, pasącą kozy: klęczała, mając twarz zwróconą ku przysionkowi. Przy niej leżał kij i koszyk. Małeńki Ludwiczek

biegał sam po tarasie; ujrzawszy mię zaczął krzyczyć; nie poznał mię.

—»Ach dobry panie! rzekła ta kobieta; gdybyś był tak miłosiernym i pilnował ze mną tej biednej dziewczyny, Bóg ci to zapłaci!

—»Co mówisz? przerwałem przejęty okropną bojaźnią; czy kto umarł? Co tu robisz?

—»Pilnuję ciała umarłej, odpowiedziała wskazując palcem na drzwi stojące otworem.

—»Kto umarł? zawołałem.

—»Córka kata! Niechaj Bóg ulituje się nad jej duszą; umarła bez spowiedzi! Zabiła się mój dobry panie. Służący poszedł uwiadomić zwierzchność. Spotkał mię i chciał mi dać złota i srebra, ażebym przyszła pilnować ciała. Nie przyjąłem jego podarku, toby mi zrządziło nieszczęście. Przyszłam darmo, to jest miłosierny uczynek.

Uklęła z oznaką przestachu. Wszedłem do domu. Nie wiem jakie na-

technienie utrzymywało mię w téj chwili, gdyż znikły we mnie wszystkie siły fizyczne; okropne bicie serca oznajmiało mi tylko że jeszcze żyję. Poszedłem do pokoiku za biblioteką... spojrziałem.... Julia leżała na łóżku, okryta zakrwawioném prześcieradłem; jej twarz okropnie blada nie nosiła śladów cierpienia; zdawało się że nie umarła lecz zasnęła na całą wieczność.

Pocałowałem ją w czoło i odszedłem.

W dwa dni potém, ojciec zastał mię na wsi, śmiertelnie chorującego na nerwową gorączkę. Skorom tylko nieco ozdrowiał, wyjechaliśmy. Od tego czasu nie byłem w Aix. Jednak raz jeszcze przed śmiercią muszę zobaczyć te miejsca gdzie byłem tak szczęśliwy i gdzie doznałem najokropniejszej boleści.

Pochylił głowę na ręce i przydał:

Gdybym przynajmniej znaleźć mógł miejsce gdzie spoczywa biedna Julia!



Długie milczenie nastąpiło po tém smutném opowiadaniu; wszyscy mieliśmy łzy w oczach.

. —»Ach! pomruknął poborca z przytłumioném westchnieniem, to zdarzenie bardzo wygląda na zmyśloną powieść jak ta *Chatka indyjska*.

*Pani REYBAUD.*

1819  
The following is a list of the  
names of the persons who  
were present at the  
meeting of the  
Board of Directors  
of the  
Company  
held on  
the  
1st day of  
January  
1819.

Paul Harvey.

**DZIENNIK**

**D O K T O R A .**

*Tom II.*

14





## OPERACYA. — POJEDYNEK.

---

### I.

Znają wszyscy to stare zdanie: że kobiety umieją znosić cierpienia fizyczne, z odwagą, do której bylibyśmy niezdolni. Zginają się pod ciężarem udręczeń któreby nas złamały; ich istnienie giętsze i bardziej nerwowe podźwiga się z większą elastycznością. Zrodzone w tym celu żeby były matkami, mając sobie powierzone od Boga staranie o przyszłych pokoleniach i przelew życia, rodząc pośród boleści, muszą dla dopełnienia praw natury, oprzeć się najdotkliwszym cierpieniom. Następujące zdarzenie przekona o tém.

Niechaj ci, których zbyt słaba czułość wzdryga się na opis udręczeń i cofa się przed okropną rzeczywistością, nie czytają tych stronnice, wszystko jest w nich prawdą, lecz prawdą przerażającą i straszliwą. Dla mocniejszych umysłów, będzie to zajmujący obraz wielkiej odwagi, silnej woli, połączonej z czułością najbardziej przenikającą.

Pani Saint A\*\*\* szlachetnego rodu, żona pułkownika, cierpiała od kilku miesięcy na tę zabójczą plagę kobiet, na raka w piersiach. Byłem jej zwyczajnym lekarzem i z boleścią widziałem jak ta piękna osoba, anielskiej słodyczy, gaśnie trawiona okropną chorobą. Wiadomo, jak szybko ta plaga pożerając ciało ofiary i codzien nowe zadawając konanie, zapuszcza w tona coraz to boleśniesz męczarnie, przechodzące działanie żelaza i ognia. Tkliwem była widowiskiem, rezygnacya jej prawie spokojna pośród okropnych bole-

ści; nie wydawała jęków, nie płakała, a gdyśmy zdołali zrządzić jej za ledwie kilka chwil wypoczynku, kilka chwil wolnych od boleści, wznosiła ku nam piękne oczy, z tkliwym wyrazem wdzięczności: i chociaż nazwyczajony jestem do widoku wszelkich cierpień, mocnego doznałem wzruszenia. Żadna oznaka zniecierpliwienia, drażliwości i gniewu, żadna skarga nie wyrwała się z jej ust i nie objawiała jej cierpień.

Pewnego poranku zastałem ją leżącą na sofie w salonie. Blandość choréj, tém bardziej odbijała się od świetnej purpury axamitu pokrywającego meble. Jedynie brwi lekko ściągnięte, i kilka zmarszczek na czole, wskazywały jaki przymus zadaje sobie i jakie zwycięstwo odnosi. W téj spokojności znajdowała się moc cierpienia, na którą dreszcz mię przeniknął.

— »Jakżeś pani noc przepędziła? zapytałem się.

Odpowiedziała drżącym i łagodnym głosem: — »Ach! ta noc była bardzo bolesna. Cieszę się że mego męża tu nie było, bardzo wiele byłby cierpiał.

Wówczas wszedł do jej pokoju, skacząc i śmiejąc się, chłopczyk czteroletni, jedyny syn chorąg. To piękne dziecko, z jasnemi włosami zwijającemi się w pierścienie, nie wiedzące że matka jest łupem powolnej śmierci, i że umiera przed jego oczyma; ta sprzeczność wesołości, życia, przyszłości i szczęścia, z wroźbą blizkiego zgonu, tworzyła jedno z tych traicznych położeń, które tak często zdarzają się w życiu pospolitem, a na które nie zwracamy uwagi. Wziąłem dziecko na ręce, posadziłem na kolanach i usiłowałem zabawić je przez chwilę, dzwoniąc tańcuszkiem i dewizkami od zegarka; bałem się ażeby jego dziecinne krzyki i hałaśliwe pieszczoty, nie przerwały spokojności matki. Spojrzała na nie wrytym wzrokiem, tkliwie i z niewymo-



wnym wyrazem. Potém, białą ręką, przejrzystą, wychudłą od cierpienia, zasłoniła sobie oczy, i widziałem że płakała. Nie rzekła ani słowa. Ileż to uczuć, ile wyobrażeń, ile nieszczęść obejmowała ta jedna chwila, to jedno poruszenie! Widok jój synka, zwyciężył jój odwagę.

Choroba czyniła szybkie postępy. Trzeba było zrobić operacyą: był to jedyny lecz wątpliwy sposób uratowania pani A.\*\*\* Zręczny operator, którego przybrałem do pomocy, człowiek gorliwy i pełen talentu, objawił chorąj tę smutną wiadomość. Zapytał się, czyli sądzi, iż ma dosyć siły do wytrzymania operacyi. Łagodny i smutny uśmiech pokazał się na jój ustach. Rezygnacya malowała się w nim.

—»Tak jest, rzekła; już od niejakiemu czasu myślę o tém i nazwyczajam się do tego wyobrażenia: poddam się operacyi jak będę mogła najlepiej; lecz pod dwoma warunkami: pierwszy, że o tém nie napiszecie do mego męża,

drugi, że mi ręk nie zwiążą i oczu nie zasłonią.

Ten drugi warunek naznaczyła z tak wyraźną i stanowczą wolą, iż nie śmieliśmy sprzeciwić się. Oznaczono dzień operacji. Była spokojna, odważna. — Operator patrzył na mnie z powątpiewaniem i obawą. Pani A\*\*\* odgadła jego myśli.

—»Wiem co pan myślisz, rzekła: lecz spodziewam się iż ci dowiodę, że kobieta umie w potrzebie pokazać, że jest odważną.

Stanowczo umówiliśmy się o dzień; miało to być we Środę. Operator, jego pomocnik i ja, pojechalismy do chorej i wzięliśmy pudełko z instrumentami. Czyliż przyznam się do słabości, którą jako dzieciństwo ganić będą moi współkoledzy? Drżenie mię przejęło, gdy pomyślałem iż te narzędzia męczarni, nie jednej kobiecie śmierć zadały.

—»Jestżeś pewnym, rzekł operator do swego pomocnika, że wszystko

jest w porządku, i że niczego nie brakuje?

Nie poprzestając na potwierdzającą odpowiedź, obejrzał pudełko i zapewnił się iż przedsięwzięto wszelkie środki ostrożności. Nie było to bez powodu. Pewnego dnia: z boleścią przypominam sobie o tém: widziałem jak pacjent umarł w ręku operatora, dla braku téj nieuchronnej baczności. Nie znaleziono w pudełku narzędzia szczególnego kształtu, którego trzeba było użyć w zdarzonym przypadku, a to zapomnienie przyprawiło o śmierć chorego.

Pani A\*\*\* mieszkała w pięknym domu o pół milki od Londynu. Wprowadzono nas do salonu, którego okna wychodziły na obszerny ogród; samotne położenie i cisza tego miejsca, odpowiadały smutnej scenie, która wkrótce odbydź się miała. Odźwierny był blady, oczy miał obłąkane, i oczywiście uważał nas za katów, nie

za lekarzy. Niższe klasy społeczeństwa mało ufają sztuce lekarskiej, brzydzą się chirurgiczną sztuką, która niekiedy ocali życie nieszczęśliwemu, ale częściej porodziła tylko jego drgające ciało i okropniejszym uczyni jego konanie. Bolesnie spoglądałem na nasz aparat: dziś nawet, po długim doświadczeniu nie mogę wstrzymać się od uczucia przestachu, ilekroć go zobaczę? Te bandaże, te serwety, miednica na krew ofiary, ciepła woda, gąbka, świecące się narzędzia które ostrzą i probują; wszystko to tworzy okropny widok.— Nie; przygotowania do bitwy nie są tak przerażające: grzmią działa, iskrzą się bronie, rozlega się dźwięk tręb i bębnow: ta wspaniałość zabójcza, upaja człowieka nadzieją, dumą i pychą. — Przeciwnie zaś, sala operatora jest ukrytym miejscem bolesnej męki, której powodzenie jest bardzo wątpliwe.

Nareście oznajmiono pani A\*\*\* że wszystko jest gotowe i że na nią czekają.



Operator nawykły do takich czynności, uważał to co wzbudzało we mnie obawę, jako sposobność okazania biegłości swojej i śmiał się z mojej bojaźni. Z oburzeniem odpartem kilka jego niewczesnych żartów; wtém otworzono drzwi i pani A\*\*\* weszła a za nią dwóch służących. Fizyonomią miała spokojną lecz ułożoną, chód śmiały. Na jej bladéj twarzy, uśmiech tak smutny, jak ostatni promień w dniach Listopada, wskazywał jej melancholijną rezygnacją. Mogła mieć około dwudziestu siedmiu lat, a i w téj nawet chwili, bez stroju, gotowa na straszliwą śmiertelną może operacją, jeszcze była piękna. Jej długie ciemne włosy rozpostarte były na jej czole i ramionach bielszych od śniegu. Jej błękitne oczy, zwyczajnie na pół zasłonięte długimi czarnymi rzęsami, nie miały tego wyrazu omdlenia i dumania, który ich powab stanowił. Mocne i bolesne oczekiwanie w nich zajaśniało; a potęg-

ga dumy i woli, usiłująca zwyciężyć razem przestrach śmierci i boleści, nie mogła zupełnie poskromić tego wzruszenia tak naturalnego, które malowało się w jej oczach. Rysy miała regularne; najzręczniejsze dłuto nie wyrobiłoby z większą delikatnością kształtów jej ust i nosa. Jej cera zazwyczaj bladawa, była przejrzysta jak alabaster, w tej chwili, gdy krew gwałtownie zbiegając się do serca, opuściła inne części ciała. Jest to szczególniejsza uwaga, lecz prawdziwa i na licznych faktach oparta, że najpiękniejsze kobiety najczęściej wystawione są na tę okropną chorobę.

Zarzucono wielki szal kaszmirowy na jej muślinową suknię; usiadła. Co! pomyślałem: tak niewinna i piękna istota, uleż musi okropnemu udręczeniu, którego nie doznają z ręki kata, nawet najwinniejsi z ludzi. Ogarnęła mię ta myśl okrutna i krew ścięła się w żyłach moich. Na takie widoki i na my-

śli z nich wynikające, jedyne jest tylko lekarstwo, jedyna nadzieja, wiara w lepszą przyszłość.

Postawiono przy niej na stoliku, butelkę wina Porto i kieliszek. Skinęła na mnie żebym się zbliżył i jak gdyby zgadując moje wzruszenie, poprosiła ażebym wypił trochę wina; w jej fizyonomii malowała się pojętność i lekka złośliwość, która w owej chwili niezmiernie mię wzruszyła.

—»Pozwól pani, rzekłem do niej, żebym ci ofiarował kilka kropel tego wina Porto.

—»Chętnie je przyjmę, jeżeli sądzisz że mi będzie pomocne: odpowiedziała prawie niezrozumiałym głosem.

Jej usta dotknęły się brzegów kieliszka; oddała go mówiąc z wyrazem łagodnej wesołości:

—»Doktorze, sądzę że i ty także potrzebujesz wzmocnienia. Tak jest, (przydała wzruszonym głosem), zgaduję co czujesz i wdzięczna ci jestem za two-

ją o mnie troskliwość, za twoją dobroć i za obawę której doznajesz, a chciałbyś ją ukryć.

Postawiłem kieliszek na stoliku, uwielbiając ten wdzięk w mowie i ten powab czułości, którą sama tylko kobieta zachować może w wykonywaniu cnot najwznioślejszych. Obróciła się do chirurga i rzekła:

—»Kochany doktorze, miej wyrozumiałość dla słabości kobiecej, którą może nazwiesz płochem dziwactwem. Oto jest list mojego męża: cenię go bardzo, w nim jest wyrażono jak mocne ma do mnie przywiązanie. Czy nie mógłbyś trzymać go tu, przed mojemu oczyma?.. Czuję że tę myśl uważasz za dziwactwo; ale uczynisz mi tę łaskę... Zezwolisz... nie prawdaż?

—»Pani, w rzeczy samej nie mogę na to zezwolić. List ten powiększy wzruszenie pani. Potrzebujemy jak największej spokojności.



— »Mylisz się; odpowiedziała z stałością: list ten przeciwny skutek zrządzi: zaręczam ci, że widok jego doda mi odwagi. A jeżeli mam....

Chciała domówić: *A jeżeli mam umrzeć....* lecz zatrzymała się, nie mogła dokończyć tych wyrazów; ta mężna kobieta lękała się śmierci i razem uzbierała się w odwagę potrzebną do jej zniesienia. Jej oczy zamknęły się na chwilę; rękę miała zimną, pokrytą zimnym potem. Podała mi list, nie drżała, była nieporuszoną.

— »Jeżeli przystaniemy na żądanie pani, rzekłem, a będzie to mimo woli naszej, uczynimy to pod jednym warunkiem: pozwolisz pani abym podczas operacji trzymał ci ręce.

— »Czyliż mię się boisz doktorze? odpowiedziała z przemijającym uśmiechem.

Lecz nie opierała się dłużej; zwłoka ta niecierpliwiła operatora. Wszystko było w pogotowiu. Zbliżył się z

miną najswobodniejszą, zdawało się że idzie na zabawę, lub na wesele. Żadnego śladu wrzuszenia nie było na jego twarzy. Przedstawiam go za wzór operatorów: na jego widok chory nie powinien wierzyć iż może umrzeć, tak wesołe i wypogodzone ma oblicze, tak zaspokajają wyrazy jego.

—»No, no, czy już się skończyła ta rozmowa sam na sam? Trzeba skończyć tę małą robotkę; a potem mieć będziemy zdrowie, wesołość i będziemy rozmawiali ile nam się podoba.

—»Jestem gotowa. Czy wyszli wszyscy służący? zapytała się garderobiany.

—»Tak jest pani, odpowiedziała ta kobieta tonąc we łzach.

—»A mój Henryczek? Na wspomnienie synka, jej głos zesłabł. Odpowiedziano iż także wyszedł.

—»A więc jestem gotowa.

Garderobiana zdjęła szal zastaniający jej ramiona. Operator posadził ją ukośnie w krześle, przełożył lewą jej

na poręcz i powiedział ażeby trzymała głowę zwróconą ku prawemu ramieniu. Odkryła pierś swoją tak spokojnie, jak gdyby miała przebierać się jadąc na bal. Podała mi prawą rękę. W lewej trzymałem list męża przed jej oczyma, jak tego życzyła. Odpowiedziała spojrzaniem którego, nigdy nie zapomnę. Wyrażało ono: będę mężną, zobaczysz co mogę dokazać. Uśmiechała się do śmierci grożącej tak blisko. Odpowiedźcie mi, bohaterowie na polu bitwy, którzy z pogodnym czołem patrzycie na płynącą krew waszą, czyliż wasz heroizm nie musi ustąpić pierwszeństwa, heroizmowi tej kobiety?

Spuściła powieki i przez pół zamknięte oczy wlepiła w pismo które trzymałem przed nią: zdawało się, że jej myśl, jej dusza i życie, przywiązały się do tego pisma, które jej było tak drogie i znane. Zdawało się że chce unikać bóleści, przenosząc, że tak rzekę, całe istnienie swoje za siebie samą i wlepia-

jąc je w przedmiot swego przywiązania. Śmiałość i pewność operatora, nie opuściła go ani na chwilę, zaczął stała ręką i zaufanym wzrokiem, straszliwą operacją. Widziałem jak stał przenikła w bijące łono i samo tylko zaufanie w jego zadziwiającej zręczności, której tyle dowodów okazał, mogło dodać siły do zniesienia tego widoku. Zadrżała gdy ostrze przedarło się w zdrowe ciało. Konwulsyjne drżenie wstrząsało nią; trupia bladość powlekła jej twarz; lecz nie ruszyła się, nie drgnęła, nie rzekła ani słowa.

Spodziewałem się przez chwilę, że nagłe omdlenie uwolni ją od boleści i w tym stanie nieczułości będzie można dokończyć operacji. Lecz tak się nie stało. Jej oko, którego zapał i blask powiększała jeszcze konwulsyjna boleść, nie oderwało się od pisma, w które wryte było z niewymowną mocą przywiązania i zajęcia. Operacja trwała długo; boleśnieszka była nad spo-



dziewanie nasze. Jedno tylko westchnienie wyrwało się z jej rozdartej piersi. Gdy przyłożono ostani bandaż:

—»Doktorze, rzekła cichym głosem; czy już koniec?

—»Tak jest pani; zaniesiemy cię na łóżko.

—»Nie, nie; pójdę sama, będę mogła zajść.

Usiłowała podnieść się. Nie dozwoliliśmy tego, bojąc się ażeby poruszenie nie zrządziło bardzo złych skutków.— Usłuchała nas i złożyliśmy ją na łóżku. Wtenczas wpadła w głębokie omdlenie. Mniemaliśmy że umarła. Czyliż w tej okropnej walce wyczerpała się jej siła żywotna? Zwierciadło przyłożone do jej ust nieporuszonych, pokrywało się mgłą prawie niewidzialną. Jednakże powróciła do życia. Usypiające lekarstwo zjednało siedm godzin snu, a nazajutrz przeszła największe niebezpieczeństwo. Bardzo powoli przychodziła do zdrowia. Do o-

bowiązków mego powołania łączyło się głębokie uwielbienie téj mocy duszy, której w opisie moim dałem słabe tylko wyobrażenie. Doglądałem jęj pilnie, troskliwie, wytrwale i byłem tak szczęśliwy żem ją uratowałem.

Pewnego dnia odebrała list donoszący o powrocie jej męża; postrzegłem że była smutna i kilka jęj słów objawiły mi tę myśl kobięcą, która wzruszyła jęj serce. Myślała o swojej piękności. Choroba nie zniszczyła jęj zewnętrznego powabu, lecz zostawiła niezatarte ślady; pocieszałem ją ile mogłem.

—»Ach! zawołała, mąż mój....

Zatrzymała się i ocierając łzę przydała:

—»Spodzielwam się jednak, iż mię jeszcze kochać będzie.

## II.

Obok tak tkliwego obrazu odwagi niewieściej, obok heroizmu połączonego z tak słodką czułością: wystawiłem sobie w myśli mojej kilkanaście czynów odwagi męskiej, którą poznałem w ciągu moich postrzeżeń. Zaden nie wyrównywa w moralności i szlachetności odwadze pani A\*\*\* Byłem świadkiem kilkunastu pojedynków, widziałem w nich dowody wściekłej zjadłości, obmierzłej żądzы przelania krwi, niestychanego uporu, ażeby zadać śmierć lub ją ponieść. Jest to szaleństwo dzikiego zwierza, nie zaś odwaga człowieka. Nie przytaczałbym szczegółów pojedynku, którego opisanie zamieszczam, gdybym nie był przekonany, że posłuży za przerażającą i zbawienną naukę.

Młody lord którego imię zamilczę, i którego familia już nie istnieje, zaprosił mię na czas łowów do swego zamczku w hrabstwie Somerset. —

Wiadomo, że te chwilowe rezydencje szlachty angielskiej zwane *Shooting-boxer*, są miejscami zjazdu dla osób wyższego towarzystwa, znudzonych jednostajnym trybem życia w gotyckich starych zamkach w porze letniej, albo świetnymi zabawami stolicy w porze zimowej. Tam rozwijają się najdzielniej, upodobania młodej szlachty angielskiej. Lord Byron w swoim opactwie Newstead był wzorem tego życia oddanego szermierstwu, łowom, rozpuście, pijaństwu, bez wątpienia bardzo przeciwnego moralnym i delikatnym obyczajom, lecz bawiącego i odurzającego.

Lord F\*\*\* obrawszy sobie zawód wojskowy, zaprosił do swojej rezydencji w Sommerset mnóstwo młodych oficerów. Ich wesołość i żywość, nadała ruch tym świetnym zabawom wiejskim, których tylko byłem prostym widzem nie zaś uczestnikiem. Tysiące szaleństw dni nasze zajmowało; nie-



ustanne mistyfikacye, żarty, doskonałe jedzenie i wino wyborne, konie, komedye na prędcy, późne wieczerze, szalone zakłady, polowania, rybołówstwo, gra, strzelanie do celu z pistoletu, wszystkie te zabawy następujące po sobie niezmiernie szybko, stały się nudnemi po dniach piętnastu tego szafu wesołości. Lord F\*\*\* doradził ażebyśmy urozmaicili nasze uciechy. Miasteczko T\*\*\* leży niedaleko od zamku, gdzieśmy gościli. Oznajmiliśmy przez pisma publiczne bal składkowy w tém mieście, na który wszystka szlachta z okolicy nie omieszkała przybydź wraz z familiami. Nazwisko Lorda F\*\*\* i obecność świetnych jego przyjaciół, ściągnęło w rzeczy samej liczne towarzystwo; zjechało się na ten bal o kilka mil na około; wszystko powiodło się podług naszych życzeń. Miasteczko zbyt szczupłe dla pomieszczenia tego tłumu tancerzy, zamieniło się w radośny obóz. Dźwięki muzyki odbijające

się o okoliczne wzgórza, obudziły wieśniaków z przyległych wiosek; a mieszczanie podnieceni tem widowiskiem, zrobili na prędcie zabawę, tak prawie hałaśliwą jak nasza. Rzekłbyś że to jest Abdera i Abderyci.

Piękności z okolic przybyły na nasze wezwanie. Nigdy jeszcze nie widziały tak wytwornych kawalerów, tak dobranego towarzystwa. Jak mocno biły te młode serduszka! jak potężny był ten urok! Któżby mógł mu się oprzeć? Większa część przyjaciół lorda F\*\*\* odznaczała się szlachetnością rysów, a mianowicie uprzejmością obejścia. Prawie wszyscy z gruntu znali te podstępny zalotności, ten dyalekt razem nic nie znaczący i potężny, tę sztukę przenikania serca kobiety za pośrednictwem płochęj mowy, złożonej z frazsek które czarują, i zręcznych pochlebstw które upajają. Ja tylko sam nie posiadałem żadnej z tych zalet. —

Moje nauki lekarskie, moje cierpienia, przywiązanie do żony i spokojne uciechy domowego pożycia, nie uczyniły mię zdolnym do tego rzemiosła płochęj zalotności. Poprzestałem na przedstawieniu kilku kontradansów z młodą osobą opuszczoną od innych, jedną z tych biednych stworzeń, na które nie zwracają uwagi, ponieważ są brzydkie, nieśmiałe i niezręczne, a którym to odosobnienie odejmuje przytomność umysłu i łatwość rozmawiania, zastępującą niekiedy zewnętrzne a nawet i wewnętrzne zalety.

Między mnóstwem panien tańczących, jedna odznaczała się wdziękami i skromnością. Przewana *Fijołkiem z Hazelonu*, przez zastosowanie do jej bojaźliwej piękności i do wdzięków obejścia, otoczona była wielbicielami, ubiegającemi się, w całym znaczeniu tego wyrazu, ażeby mieli zaszczyt z nią tańczyć. Pisarze romansów i powieści, już nas znudzili malowaniem pię-

kných dziewic; śmiejemy się z tych doskonałych piękności tak symetrycznych, godnych uwielbienia i wychodzących z pod pióra naszych pisarzy. Nie będę więc ich naśladował.

Cała nasza młodzież, prócz lorda F\*\*\*, usidlona wdziękami tej młodej osoby, składała jej hołdy swoje. — Młody kapitan z gwardyi królewskiej, sławny elegant, dziedzic wielkiego majątku, odznaczający się wysokim wzrostem i pięknoscią postawy, bardziej od innych usiłował podobać się młodej Maryi. Jego rywalem był młody człowiek, znamienitej rodziny, poświęcający się zawodowi dyplomatycznemu. Jeśli uśmiechnęła się do jednego, drugi brwi marszczył. Jeżeli z większą uwagą słuchała rozmowy kapitana, rywal jego, któremu dam imię *Trewor* ażeby ukryć jego istotne nazwisko, zachmurzał czoło.

Okoliczność mało znacząca na pozór, wznieciła między temi dwiema osoba-



mi sprzeczkę, wynikłą z gwałtownej zazdrości, która niemi przez cały ten wieczór miotła. Kapitan wziął rękę pięknej Maryi i chciał z nią tańczyć pierwszego kontradansa, Trewor zatrzymał go, mówiąc:

— »Kapitanie, mam słowo panny: spodziewam się że mi ustąpisz. Odwołuję się do ciebie pani, rzekł obracając się do Maryi.

Lica Maryi pokryły się nagłym rumieńcem, przewidziała spór i jego skutki.

— »Zdaje mi się, odpowiedziała, iż w rzeczy samej przypominam sobie, że przyrzekła panu Trewor; lecz gdybym mogła, tańczyłabym z obydwoim. Kapitanie, nie masz mi tego za złe, nieprawdaż? — a błagające spojrzenie młodej dziewczyny, prosiło o łaskę zazdrośnego rywala.

Kapitan ustąpił, rzuciwszy na Trewora iskrzące spojrzenie, które wyzywało i groziło zarazem. Wkrótce po-

tém wyszedł z sali; nie wiem jakie tajemne przeczucie ostrzegało mię, że okropne nieszczęścia wynikną z tego zdarzenia. Znałem dumę i zawziętość obudwu. Trewor tańcząc z Maryą, upatrywał kapitana: odgadł bowiem jego nieprzyjazne zamiary i myśl tajemną. Do baczących starań które okazywał dla swojej pięknej tancerki, przyłączał się w jego sercu tajemny gniew i nienawiść.

W ośm dni potém, lord F\*\*\* dał świetny obiad dla towarzyszków swoich zabaw. Trewor i kapitan byli zaproszeni obydwaj. Umyśliłem nie spuszczać ich z oka.— Kapitan przybył pierwszy i stanął w oknie. Trewor zsiadł z konia przy zewnętrznej bramie; kapitan postrzegł go, zbladł; zwarty się jego usta, odszedł od okna z udaną spokojnością, która wszystkich zwiódła, prócz mnie. Stanął na drugim końcu sali naprzeciw drzwi i wlepił w nie oczy. Rywale powitali się wzajemnie

z wyraźną oziębłością, lecz bez ubliżenia.

Dwudziestu biesiadników zasiadło do stołu zastawionego wytwornemi potrawami, doskonałe były wina, usługa świetna; wszystko szło jak najlepiej, a kapitan i Trewor daleko siedząc od siebie, zapomnieli, jak się zdawało, o wzajemnej niechęci. O kwadrans na dziesiątą przyniesiono desser i liczne butelki wina Porto, Szampana i Madery. — Kilka ochoczych toastów podnieciło wesołość. Wtedy wstał nasz gospodarz, a podnosząc kieliszek nalany pieniącym się szampanem:

— »Kochani towarzysze chwały i uciech, zawołał, nalejcie kieliszki! Wznoszę toast miły wam wszystkim. Wypijemy zdrowie pięknej Maryi, *fijołka z Hazledonu*. Wzywam was wszystkich, spełnicie ten toast.

Jednogodne okrzyki poświadczyły uwielbienie nasze dla piękności *fijołka z Hazledonu*; kapitan i Trower jedni z naj-

pierwszych powtórzyli imię młodej dziewczyny. Zadrżała ręka kapitana, gdy szklankę poniósł do ust.

—»Ale! zawołał młody roztrzepaniec: któż podziękuje towarzystwu w imieniu piękności z Hazledonu?

—»Dalibóg, jej faworyt na balu, Trewor, odpowiedział drugi.

—»No, Treworze, podnieś się, podnieś. Przez cały wieczór z tobą tylko samym tańcowała; ledwo można było jedno słówko powiedzieć do niej.

—»Ja zaś, przerwał lord F\*\*\*, sądzę że i kapitan ma swoje prawa. Postrzegłem nie jeden uśmiech pięknej Maryi, lekki dowód życzliwości, lecz znaczący, który się zwracał do kapitana.

Trewor i jego rywal, zmieszani obydwa, milczeli. Kapitan ścisnął swój kieliszek. Odurzeni winem w biesiadnicy, jedni trzymali stronę officera, drudzy Trewora; oni zaś uporczywie milczeli przez ten czas, gdy roztrząsano



który z nich ma pierwszeństwo, a to z taką mocą, gorliwością i wrzawą, jak gdyby ocalenie kraju zależało od tej śmiesznej sprzeczki. Kiedy niekiedy, kapitan rzucał na Trewora gniewne spojrzenie, które nie uszło mojej uwagi. Młody baronet z okolicy, zdziwiony poważną fizyonomią dwóch rywalów i przeczuwając skutki tej sceny, usiłował przywrócić spokojność i usmierzyć coraz to większe rozjątrzenie, które ich przejmowało.

—»Proszę o głos! zawołał: można założyć się o dwadzieścia przeciw jednemu, że serce Maryi jeszcze się waha między dwoma wielbicielami. Cóż więc mamy uczynić? Poradźmy się losu; wygrywający będzie jej kawalerem.

Rozśmieli się wszyscy, lecz nie rozpogodziło się czoło obudwu rywalów; jeszcze bardziej zachmurzyły się ich rysy. Kapitan zbladł, wlepił oko w kieliszek z którego pił powoli; usiłował udawać obojętność i spokojność:

wewnętrzne wzruszenie wykazywało się mimo jego woli. Starszy wiekiem, więcej będąc panem samego siebie, Trewor był obojętnym; ledwie można było dostrzedz jego pomieszanie i wzruszenie. Ja, zważałem na najskrytsze ich myśli i czucia. Widziałem początek tej sceny; rozwijała się przed moimi oczyma. Próżność i duma miotały dwoma rywalami. Ta niespodziana okoliczność obudziła i rozdrażniła to wszystko, co tylko może być najgwałtowniejszego w duszy człowieka. Mniej bacznym dostrzegacz, za śmieszność by poczytał wagę przywiązywaną do tak małej sprzeczki: lecz znając dobrze serce człowieka, co innego myślałem.

— »Kapitanie: rzekłem po cichu do mojego sąsiada: mniemałem że ten zaszczyt który tak mocna toczy się sprzeczka, do ciebie należy, gdy widziałem iż Marya zapłonęła się z dumy i radości, przyjmując twoje pierwsze hołdy.

—»Masz słuszość, odpowiedział Trewor, nie ma żadnego prawa do tytułu, którym go chcą obdarzyć; takie jest moje zdanie.

Posępna mina rozmawiających, odrętwiła wesołość wszystkich.

—»Moi przyjaciele, rzekł wówczas Trewor lekkim tonem: narobiono wiele hałasu o jedno nic; lecz gdy już wszczęła się ta sprzeczka, gdy muszę powiedzieć to co myślę, nikt z obecnych, przynajmniej tak sędzę, nie ma prawa walczyć ze mną o pierwszeństwo które pozyskałem. Wojownik, mój rywal (i z odznaczeniem wyrzekł te wyrazy) sam przyzna, że piękna Marya powierzyła mi tytuł i obowiązek, o który się dopominam. To prawda, że kapitan ma świetne oko, wspaniałą postawę, zajmujący sposób mówienia....

—»Treworze! zawołał kapitan rumieniając się od gniewu, nie ścierpię zachwalstwa.

— »*Zuchwalstwo!* Cóż u licha może znaczyć ten wyraz? Chceszli szukać zaczepki, kapitanie? W istocie, nie spodziewam tego. Czyliżem powiedział co takiego coby cię mogło obrazić? Żałuję tego. Nie miałem téj myśli; na honor, bardzoby mi było przykro. Co zaś do osoby o którą spór się toczy, pozwólcie mi panowie, ażebym dopomniał się o prawo i zaszczyt podziękowania w jéj imieniu. Tak jest kapitanie, mimo twojego pösepnego wzroku i grożącej miny, ośmielę się zabrać głos i podziękować szanownemu zgromadzeniu, które wniosło toast za jéj zdrowie.

Trewor zręcznie połączył w téj małej przedmowie, lekkość, żartobliwość, dobry humor, a nawet i uprzejmość. — »Spodziewałem się iż się uspokoi kapitan, lecz zamiast pójść za przykładem swego rywala, zawołał głosem drżącym od gniewu:



—»Mylisz się Treworze, przysięgam, na honor mylisz się. Wieszli co mogła odpowiedzieć mi młoda Marya i jakie są jej tajemne uczucia? Może zamiast przyjmowania z miłą chęcią starań twoich, zносиła je, jako niezbędne nudy.

—»Śmieszne gadanie! Widziałem Maryą nazajutrz rano i mogę cię zapewnić....

—»Nazajutrz! widziałeś ją nazajutrz? jakież miałeś powody?

—»Nie mam obowiązku zdawać ci sprawy z mego postępowania. Wolno, (mówił dalej wychylając szklankę wina, która po mnóstwie poprzednich szklanek do reszty odebrała mu wiadomość tego co mówi), wolno mi jest składać Maryi moje hołdy i tym gorzej dla tych którym się to nie podoba.

Twarz jego pokryła się purpurowym rumieńcem: głos drżący wskazywał postępek pijaństwa; przyjaciele daremnie usi-

łowali go powściągnąć. Wstał chwiejąc się i odurzony napojem.

—»Marya przyjęła moje wyznania; ja przyjąłem jej wzajemnie; powiadam ci to kapitanie, ażebyś zaniechał téj sprzeczki.

Powszechny szmer nagany, powstał przeciw Treworowi; nic go uniewinnić nie mogło chyba stan pijaństwa w którym się znajdował.

—»Treworze, odpowiedział jego przeciwnik; dopuszczasz się nikczemnego i nieuczciwego czynu: mówił dalej żałosnym i mocnym tonem. Nie mogę powściągnąć się, nie mogę... Chcesz zgubić na sławie istotę niewinną i słabą; i ja słuchałem cię z oburzeniem i oświadczam nawzajem w obec wszystkich naszych przyjaciół tu znajdujących się, że jesteś... słyszysz mię... że jesteś *nikczemnikiem*.

Ten ostatni wyraz wyrzekł z przyściskiem i powoli. Głębokie milczenie panowało w sali.

—»Nikczemnikiem! odpowiedział Trewor, a twarz jego zbladła i przybrała poważniejszy wyraz. Oskarżasz mię o podłość i nazywasz nikczemnikiem? — I trzymając kieliszek w ręku, podniósł się i stojąc naprzeciw kapitana powtórzył ten wyraz, *nikczemnikiem!*

—»Tak jest, powiedziałem to: rzekł kapitan stałym głosem.

—»Wiesz jakim sposobem powinienś mię przeprosić?

Kapitan oparł się plecami o poręcz krzesła i wlepiając w Trewora nieustraszone spojrzenie :

—»Nigdy nic takiego nie mówię, za co bym musiał wstydzic się, albo przeproszać: tego się odemnie nie spodziewaj.

—»I nie spodziewaj się także, odpowiedział Trewor, ażebym żądał zadość uczynienia za tę zniewagę; i rzucił w kapitana kieliszek napełniony winem.

Szkło krusząc się stłukło i skrwawiło twarz kapitana; większa część wina padła na mnie.

Wszyscy obecni zerwali się z wrzawą, były to pomieszane krzyki, niezgodne ruchy, wołania krzyżujące się z sobą. Dwaj przeciwnicy zostali spokojni pośród tego nieładu. Kapitan obcierał zwolna plamy od wina z kamizelki i halsztuka; Trewor z założonymi rękoma, niewzruszony, zachowywał postawę którą był przybrał; jego przeciwnik zbliżając się do gospodarza domu, rzekł po cichu:

— »Kochany F\*\*\* masz pistolety? zakończmy natychmiast i w tém tu miejscu, to małe poróżnienie. Mój przyjaciel M\*\*\* zajmie się potrzebném przygotowaniem.

— »Uspokój się przyjacielu, odpowiedział lord F\*\*\* bardzo zmieszany; wszystko to jest niedorzecznością. — Chcecież zrobić z mojego domu widownią morderstwa, a to za sprzeczkę wszczętą u stołu? Co za szaleństwo! Podajcie sobie ręce i bądźcie przyjaciółmi. Ludzie honoru, jakimi wy je-



ście, już dali dowody odwagi; no bądźcie roztropni i niech się wszystko skończy.

— »Wiesz tak dobrze jak ja, kapitanie, że to czego żądasz jest rzeczą niepodobną. Kapitanie M\*\*\* proszę cię przynieś pistolety. Znajdziesz je w galerii do strzelania. Lecz, mówił dalej, czyliż nie lepiej przejść do tej galerii gdzie się broń znajduje? Byłoby to przyzwoitszą rzeczą.

Kapitan, który już odbył nie jeden pojedynek, mówił o tém z jak najmniejszą krwią.

Kilkunastu roztrzepanców napełniających salę i dobrze pijanych, zawołało jednozgodnie:

»No, skończcie tę sprawę: trzeba ją natychmiast załatwić. Pistoletów! pistoletów! Kuzyn lorda F\*\*\* młodzieniec roztrzepany i gwałtowny, zawołał:

— »Muszą się strzelać! nie ma najmniejszej wątpliwości.

—»Niechaj przeklętą będzie ta dziewczyna, dla której dwóch uczciwych ludzi chce się zabić, zawołał lord F\*\*\*  
Przeklinam tę chwilę w której wszczęła się ta nedorzeczna sprzeczka. Mój kochany Treworze, (i zbliżył się do gromadki otaczającej Trewora), proszę cię, zaklinam, błagam jak o łaskę, opuść mój dom. Niechaj nie powiedzą, że uczta którą wyprawiłem dla moich przyjaciół, zakończyła się zabójstwem. Czyliż ta sprzeczka nie może się zakończyć bez rozlewu krwi? Nie! tak bydz musi; pójdź Treworze, pójdź ze mną!

Schwycił go za rękę i ciągnął do kapitana.

—»Dziękuję ci, rzekł Trewor, lecz daremna jest twoja życzliwość. Nie możemy inaczej zakończyć tej sprzeczki tylko pojedynkiem; a im prędzej tém lepiej. Mój przyjaciel P. będzie nam sekundować. No, śpieszmy się, rzekł do niego.

Jeden z widzów rzekł do Trewora i powiedział mu iż kapitan tak dobrze strzela, że kulą w odległości dziesięciu sążni, przetnie szyling na dwoje.

— »Doprawdy, zawołał Trewor bez zblednienia. Muszę zrobić testament, gdyż mam oczy kreta i pewno chybię.

Poszedł do kapitana rozmawiającego z kilkoma officerami w drugim rogu apartamentu. Trewor podał mu rękę, kapitan zmarszczywszy brwi odwrócił się i milczał.

— »Kapitanie, rzekł Trewor; mówią że nigdy nie chybisz i od razu zabijesz człowieka?

— »I cóż z tego?

— »Wiesz że mam wzrok krótki, że nie nawykłem do strzelania z pistoletu i dość jestem niezręczny.

Głuchy szmer powstał w towarzystwie. — »Co! rzekł do mnie mój sąsiad, Trewor cofa się; to mię dziwi! — Kapitan milczał przez chwilę; na jego

twarży malowała się ciekawość złączo-  
na z podziwieniem i pogardą.

—»Do czegoż zmierza ta mowa? rzekł  
nareście.

—»Zaraz się dowiesz. Niestuszną  
jest rzeczą ażeby nasza broń była nie-  
równą. Czy myślisz mój dobry panie,  
że przystanę na to ażebym spokojnie  
stał przed tobą i otrzymał cios śmier-  
telny, nie mogąc ci go oddać? Tak nie  
będzie. Chciałeś téj walki. Twoje głu-  
pstwo jest jój przyczyną; wywołały  
ją twoje słowa. Jest to okropna i śmie-  
szna sprawa, zgadzam się na to, lecz po-  
winienes przypisywać ją samemu sobie;  
strzelać się będziemy jeden naprzeciw  
drugiego, twarz przy twarży, pierś przy  
piersi, przedzieleni jednym tylko stołem.  
»Tak jest, zawołał (a głos jego pod-  
niósł się szalonym sposobem), padnie-  
my razem, zginiemy razem i wszystko  
się skończy.

—»To rzecz okropna! niegodziwa!  
piekielna! zewsząd rozlegały się te wy-



razy. Nie będziemy świadkami takiego pojedynku. Byłaby to rzeź nie zaś pojedynek. Kilka osób wybiegło z sali; kapitan nie odpowiedział. Radził się swoich przyjaciół i czekał aż rozstrzygną co ma zrobić.

—»A teraz, zawołał Trewor, któż jest nikczemnikiem?

—»Dowiesz się zaraz. Chcesz morderstwa, podwójnego morderstwa, mieć go będziesz. Oby przekleństwo ciążące na mordercach spadło na ciebie. — Dwie rodziny będą ci wyrzucać śmierć jedynych synów. Przyjmuję.

Kapitana lice powlekły się barwą popiołu; jednakże nie widać było na jego twarzy żadnego śladu wahania się.

—»Broń jestże gotowa? zapytał się Trewor nie zważając na wyrazy kapitana.

Sekundanci usłyszawszy o warunkach pojedynku, oświadczyli że nie chcą mieszać się do sprawy niegodnej ludzi honoru i będącej tylko podwójnym roz-

myślném zabójstwem. Dwóch z towarzystwa pobiegło uwiadomić policyą. Lord F\*\*\* udzielił sekundantom myśl którą przyjęli radośnie: nabili prochem tylko obadwa pistolety. Wszedł Trewor i jego rywał; obadwa niecierpliwie pragnęli wzajemnie sobie śmierć zadać.

—»Czy masz, rzekł do mnie jeden z obecnych, potrzebne bandaże i narzędzia?»

—»Niechaj nasza broń pełni co powinna, a obadwa nie będziemy potrzebowali bandaży.

Nie mając ich, posłałem po chirurga wiejskiego. Trzeba było widzieć bladeść osób stół otaczających.

—»Czy gotów jesteś, panie Trewor? zapytał się jeden z przyjaciół kapitana.

—»Jestem.

Nieprzyjaciele stanęli jeden naprzeciw drugiego. Drżałem, nie wiedząc co wyniknie z naszego podstępu. Natężone muszkuły, blade i niewzruszone twarze,

wryty wzrok, ponura fizyonomia, spokojne czoło i spuszczone brwi, nadawały im przerażające i prawie szczytne piętno

— »Któż nam da znak? zapytał się kapitan po cichu. W takim pojedynku, ten jest zabójcą kto jedną chwilę wprzód strzeli niżeli jego przeciwnik.

Chirurg wszedł w tej chwili. Dasz znak! zawołano. Zastonił sobie oczy.

— »No, zawołał Trewor, spóźniasz się za bardzo.

Kapitan i Trewor ścisnęli ręce swoich przyjaciół, smutny uśmiech błąkał się na ich ustach. Chirurg postąpił i drżącym głosem rzekł:

— »Podnieście wasze pistolety.

Lufy prawie dotykały się piersi dwóch przeciwników.

— »Gdy powiem trzy, wystrzelicie. Raz! dwa! trzy! Moc wystrzału odepchnęła ich o trzy kroki. Przyjaciele przybiegli do nich.

— »Cóż to się znaczy? zawołali obadwa. Któż śmie żartować z nas? Jacyż

to zuchwalcy zwodzą nas jak słabe dzieci? W tych pistoletach nie było kul.

Lord F\*\*\* i sekundanci wytlómaczyli dwom nieprzyjaciołom podstęp, z którego napróżno spodziewali się pomyslnego skutku. Daremnie przełożono im że dostatecznie dowiedli swojej odwagi, że zmyli płamę zadaną swemu houorowi, i że powinni się pogodzić. Trewor zgrzytając zębami z wściekłości, wołał. Nie! nie! to nie nastąpi.

— »Łatwo temu zaradzić, rzekł kapitan, oto są dwa kindżały zawieszzone na ścianie; równą mają długość; wybieraj.

— »Już nas nie zwiodą; baczość!

Piekielna żądza krwi błyszczała w ich oczach. Staliśmy przejęci zgrozą. Kindżały zabłystry i ledwie mogliśmy śledzić ich szybkie ruchy. Wkrótce jeden padł; był to kapitan. Serce miał wskrós przeszyte. Oparł rękę na ranie. — »Ach! mój Boże! zawołał, i zamknęły się jego oczy. Trewor padł na kolana przy swoim przeciwniku; przestrach malował się w zmienionych jego rysach.

—»Nie jestże to sen?... zawołał. . .

.....  
Trewor opuścił Anglię; podróżował wiele; nigdy już nie widział Maryi i umarł w obcym kraju. Ta scena dzikiej odwagi i zajadłości, tkwi jeszcze w mojej pamięci, bardziej jako krwawa mara, jako okropne widziadło, niżeli jako zdarzenie z rzeczywistego życia.

Oby przynajmniej była zbawiennym przykładem.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



## SPIS PRZEDMIOTÓW.

---

Zawziętość kobiet. . . . .	1
Éwelina . . . . .	29
Rodzina Pariów . . . . .	49
Dziennik doktora. Operacya, Pojedynek	151

---